

PIJONIEROWIE

A L B O

ŹRZÓDŁA SUSKEHANNY.

PIJONIEROWIE

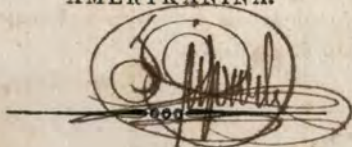
A L B O

ŻRZÓDŁA SUŠKEDANNU.

ROMANS OPISOWY

JAKÓBA FENIMORA KUPERA

AMERYKANINA.



TOM CZWARTY.

W I T O.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1 8 3 2.

Dozwala się drukować, z warunkiem aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury.
Wilno 1832. d. 28 Maja.

Cenzor LEON BOROWSKI.



ROZDZIAŁ I.

..... Cóż cię tak płochym uczyni,
Ażebyś szedł wyzywać lwa w jego jaskini,
Lub w zamku przodków Duglasa?

WALTER SKOTT, Marmion.

USTAL nareszcie rozruch panujący w miasteczku, tłumy poczęły się rozpraszać; każdy mieszkaniec wracał do domu i drzwi za sobą zamykał z powagą polityka po rozprawie nad rzeczami stanu, gdy Olivier Edward wychodząc z mieszkania P. Granta, napotkał znanego już czytelnikom prokuratora czyli adwokata Pana Lippeta. Mało podobieństwa było w charakterze, układzie i uczuciach dwóch tych młodzieńców; obadwaj jednak, jako ludzie z klasy naj-

rozumniejszej w nielicznej jeszcze społeczności mieli już z sobą niejakąś znajomość. Trafem spotkawszy się teraz, nie mogli się rozminąć, nieuchybając grzeczności, bez powitania; nastąpiła zatem rozmowa:

— Piękny mamy wieczor, — rzekł adwokat, — lecz potrzebowalibyśmy trochę deszczu. Jest to prawdziwe nieszczęście klimatu naszego, zbyt duża ulewa, albo też susza. Pan zapewne przyzwyczajony jesteś do powietrza bardziej jednostajnego.

— Niezupełnie, — odpowiedział Edward — jestem rodem z Nowego Yorku.

— O! nieraz słyszałem rozprawiających o tém, — przerwał Lippet; — ale się łatwo naturalizować w tym kraju! Mniejsza z tém gdzie się człowiek urodził. A słyszał Pan jakiej się strony wziąć myśli sędzia Tampl w sprawie Nattego Bumpo?

— Natty Bumpo — powtórzył Edward; — cóż Pan chce mówić?

— Jaktó! czyżbyś Pan o tém nie sły-

szał? — wykrzyknął adwokat z zadziwieniem przedziwnie udaném. — Sprawa ta może mieć bardzo złe skutki. Zdaje się wykrywać, że starzec chodził w góry na polowanie, i że ubił daniela, a to w przekonaniu sędziego Tampla jest ważném przestępstwem.

— Czy podobna! — powiedział Edward odwracając głowę, by ukryć rumieniec na twarzy. — Ale, gdy tylko o to chodzi, rzecz się kończy na opłacie pieniężnej.

— Lecz ta wynosi do pięciu funtów szterlingów, a Natty zkąd weźmie tę summę?

— Zkąd weźmie? Panie Lippet! Nie jestem bogaty: mogę się nawet ubogim nazwać; oszczędziłem pensji mojej na przedmiot który mnie mocno dotyka, ale grosz ostatni oddam prędzej niż ścierpię, by człowiek tak zacny godzinę znosił więzienia. Zresztą, zabił on panterę, a nagroda jaka nań za to spada zmniejszy opłatę.

— Dobrze, dobrze, — zacierając ręce

z ukontentowania rzekł adwokat, — w tym przypadku wyciągniemy go jeszcze z toni, ale nie to miejsce jest mu najtrudniejsze do przebycia.

— Panie Lippet, co przez to rozumiesz?

— Fraszka jest ubić daniela w porównaniu tego co się potem stało? Zdaje się, że skarga zaszła na Nattego, że wykonano przysięgę iż daniel zabity leżał w jego chacie, a sędzia Tampl, stosownie do prawa, wydał mandat na rewizyą domu.

— Rewizyą domu! — zawołał Edward, blady jak śmierć, głosem drżącym ze wzruszenia — i cóż znalezione? co widziano?

— Widziano koniec rury fuzyi jego, a to jak mi się zdaje wystarczy w lesie na zaspokojenie nie jednego ciekawości?

— I przymusił ich do rejterady, — przerwał Edward ze śmiechem konwulsyjnym: — więc uciekli!

Adwokat spójrzył nań z razu z podzi-

wieniem, lecz w moment bieg myśli zwrócił do właściwych sobie wyobrażeń.

— Nie ma się tu z czego śmiać, mój Panie. Nagroda za uбиcie pantery i sześciomiesięczna pensja WPana z trudnością wystarczą na załatwienie tej sprawy. Podnieść rękę na urzędnika w chwili spełniania obowiązku; grozić jemu ostrym nabojem: nie jest rzeczą zbyt śmieszną; prawo karze podobne przestępstwo nie tylko sztrafem, lecz i więzieniem.

— Więzieniem! — powtórzył Edward. — Mielizby wtrącić starego Bumpo do więzienia! nie, nie, toby mu śmierć przyspieszyło; nie będą mieli tyle okrucieństwa.

— Panie Edwardzie, powszechnie głoszą pański rozsądek, ja zaś od trzech lat adwokat, większą Panu nade mnie przyznam znajomość prawa, jeżeli dokażesz, aby sąd przysięgłych winowajcę przekonanego i udowodnionego ogłosił niewinnym.

Rozsądek zaczął brać górę nad czułością

Edwarda, a widząc rzeczywistą trudność tej sprawy, starał się uspokoić i tłumiąc w sobie wzruszenie słuchać rad, jakie mu dawał adwokat.

Pomimo wzburzenia umysłu, poznał jednak, że większa część środków podawanych przez Lippeta opierała się na pieniężnych wykrętach, do użycia których, trzeba było więcej czasu i więcej sposobów niż mu stawało. Ztémwszystkiém, adwokat w rozmowie mimowolnie pociągnął ku sobie serce, okazaną ufnością i przychylnością, i chociaż zrazu słuchał go Edward z niejakimś wstrętem; niepierwej jednak pożegnał, aż nim go zobowiązał do obrony Nattego, jeśliby sprawa przyjść miała. Rozeszli się zatem dosyć z siebie kontenci, prawnik z powagą magistralną poszedł do domku, nad którego drzwiami na tablicy czytał się napis wielkimi czarnem literami: *Chester Lippet, prokurator*; Edward zaś szerokim krokiem śpieszył do mieszka-

nia P. Tampla. Opuśćmy jurystę, by śle-
dzić kroki jego klienta.

— W przedpokoju znalazł Edward Benija-
mina i skwapliwie go pytał gdzieby był
P. Tampl.

— W swoim pokoju zamknięty z tym
łajdakiem, cieślą Dulitlem; — odpowie-
dział Benijamin, — z przeklętym korsarzem,
którego gdybym mógł, zatopiłbym w głębi
morza. A Miss Lizzy bawi w salonie. Ale
ta pantera Mospanie o mało co się nam
djabie nie przysłużyła. Jam dobrze po-
wiedział, że jest w naszym lesie, bom
słyszał wycie przeszłej jesieni bawiąc
się rybołówstwem na jeziorze, i gdybym
się spotkał na wodzie, jużby jej więcej
nikt żywcem nie widział, bo jestem pa-
nem na wodzie: co w lesie to niech mi
wybaczą, tam między drzewami byłoby
to samo, co siedząc na jednym statku kie-
rować drugim.

— Dobrze to, dobrze,— rzekł Edward,—

ale ja się chcę widzieć natychmiast z miss Tampl.

— Znajdziesz ją Pan tam, gdzie mówiłem; — odpowiedział Benijamin: — co by to za strata była dla naszego sędziego! Niech mnie licho, jeśli wiem gdzieby mógł znaleźć córkę podobną, to jest powiadam z całym przybraniem i przystrojeniem, bo to nie tego samego dnia się ją konopie na powrozy, którego fregatę spuszczają na morzę. Tak, tak, P. Edwardzie, Natty Bumpo jest zacny człowiek; fuzji tak zręcznie używa jak haku, może on liczyć na mojej pomocy i na lądzie i na morzu; chciej go Pan zapewnić o mojej przyjaźni, jaką i dla Pana samego zachowuję, boście obadwa z pod jednego pawilonu.

— Dziękuję przyjacielu, — ściskając mu rękę powiedział Edward — możemy potrzebować twojej przyjaźni i o tém wiedzieć ci damy.

Po czém nieczekając odpowiedzi, na którą

się Ben-Pompa zbierał, wszedł do sali, w której znalazł Elżbietę siedzącą na sofie w zamyśleniu z głową na ręku opartą.

— Mniemam, — rzekł witając ją z uszanowaniem — że nie jestem natrętem. Mam ważną potrzebę widzenia Pani, choćby najkrócej.

— A! Pan Edward, — rzekła głosem uprzejmym, podobnym do tego jakim zwykła mawiać do ojca swojego, czém mocno przejęła młodzieńca zadziwieniem i słodyczą; — jakżeś zostawił biedną Ludwikę?

— Dobrze, bardzo dobrze, — odpowiedział Edward, — spokojną i wielbiącą opatrzność niebios. Nie uwierzysz pani, z jaką czułością przyjęła oświadczenie mojej radości. Nie umiem wytłumaczyć sobie przyczyny, ale dowiadując się o okropnym położeniu w jakiéście się panie znajdowały, osłupiałem z przerażenia władnąć sobą nie mogąc, połowy wystawić nie potrafię

tego, co się działo w mém sercu. Zaledwo u P. Granta odzyskałem spokojność i mogłem już wystawić co czuję, bom rozrzewnił miss Grant opisując radość z widzenia jej zdrowej.

— Przyjaciel wasz, Natty, został odtąd moim, Panie Edwardzie, — rzekła Elżbieta. — Myślałam w tym momencie, w czémby można mu pomódz. Znasz wszystkie jego potrzeby i skłonności, mógłbyś zapewne mnie w tém poradzić.

— Mogę, — krzyknął Edward z żywością, która przestraszyła córkę sędziego; — mogę; oby niebo Panią wynagrodziło za dobre chęci! Natty był dosyć nierostropny uchybiając prawu zabiciem daniela tego poranku, mogę dodać jeszcze, że jeśli to jest przewinienie, ja także byłem spółnikiem. Ojciec pani o tém uwiadomiony, wydał mandat na rewizyą.....

— Nic mnie nowego nie donosisz, — powiedziała Elżbieta, — wiem o tém wszy-

stkiem: jest to forma, którą wypełnić było potrzeba, ale złych skutków na naszego przyjaciela nie ściągnie. Z tego powodu odśłużyć podobnym pytaniem jakie mnie zadał niedawno Pan Edward. Czy tak długo żyłeś z nami niemogąc nas poznać? Sądzisz, iż moglibyśmy ścierpieć, ażeby człowiek, któremu winnam życie, był wtrącony do więzienia. Tém bardziej, gdy to zależy od opłaty tak małej! Mój ojciec jest sędzia, ale jest chrześcijanin; jest człowiek. Wszystko już między nami przewidziano i ułożono.

— Jakiż ciężar zdejmujesz ze mnie pani,— odezwał się Edward. — Żadne zatém nie grozi jemu niebezpieczeństwo; zapewniasz mię, ja wierzyć powinienem, że będziesz się nim opiekowała, i nic nie przerwie spokojności jego.

— Oto mój ojciec, który sam Pana Edwarda zapewni, — odpowiedziała Elżbieta.

Marmaduk wchodził w tej chwili, ale

jego postać stroskana zdawała się przeczyć temu, co mówiła córka. Zbliżył się, a myślą zajęty zdawał się nikogo nie postrzegać, chwilę się przechadzał i nikt nie przerwał milczenia. Nakoniec wzrok rzucił na Elżbietę.

— Plany nasze zawiedzione, — rzekł do niej, — upor Nattego ściągnął na niego gniew prawa, i odjął mnie możność zasłonięcia jego.

— Jakto? jakim sposobem? — krzyknęła Elżbieta. — Opłata tak mała, i.....

— Mógłżem się spodziewać, — mówił dalej Marmaduk, — ażeby starzec, człowiek taki, jak on, śmiał opierać się wykonaniu mandatu prawnego, grozić jednemu, znievažyc drugiego urzędnika? Gdyby się był poddał rewizyi, sztrafbym za niego zapłacił, i prawuby się stało zadosyć; teraz zaś kary uniknąć nie można.

— A jaka będzie kara? — zapytał Edward głosem mocnego wzruszenia.

— W Pan tutaj! nie byłem go postrzegł. Odpowiedzieć na to nie mogę. Nie jest we zwyczaju, ażeby sędzia dawał wyrok na obwinionego, nie wysłuchawszy wprzód zaskarżenia, dowodów, obrony i zdania sądu przysięgłych. Możesz być jednak pewny w tém P. Edwardzie, że chociażby mnie to kosztowało, nie postąpię inaczej jak wskaże mnie prawo i sprawiedliwość, bez względu na ocalenie mej córki.

— Jakżeby można było wątpić o sprawiedliwości sędziego Tampla, — rzekł Edward z niejaką goryczą. — Lecz mówmy z umiarkowaniem. Starość, nałogi i niewiadomość Nattego nie mogą mu stać za obronę?

— Mogą zmniejszyć winę, lecz nie usprawiedliwić jego. Możnażby było żyć w towarzystwie, gdyby ludzie wystrzałem odpowiadali władzom sądowym? W takimże to celu zaludniłem pustynie, rozszerzyłem cywilizacją?

— Gdybyś był umiarkował drapieżność zwierza dzikiego, które przed kilką godzin życia twej córki groziło, WPana rozumowanie byłoby stosowniejsze do okoliczności.

— Olivier! — krzyknęła Elżbieta.

— Ciszej, córko! młody człowiek jest niesprawiedliwy, jam mu do tego powodu nie dał. Przebaczam WPanu tę jego uwagę, bo znam przyjaźń która go wiąże z Nattym, i że to ona uniosła go za granice przyzwoitości.

— Tak jest, jestem jego przyjacielem i pysznię się z tego. Prosty, nieokrzesany i bez oświecenia; może mieć nawet przesady, chociaż zdanie jego o ludziach jest bardzo prawdziwe. Ale ma serce, serce Panie, którymby przebaczyć można tysiące uchybień. Nigdy on nie opuści przyjaciela: o nie! ani psa nawet swojego.

— Jest to szacowny charakter, P. Edwardzie; nigdy jednak nie miałem szczę-

ścia ściągnąć na siebie względów jego, każdym czynem i słowem starał się mnie odpychać; znosiłem to jego postępowanie tak jak dziwactwo starca; i kiedy stanie jako obwiniony przede mną, mogę zapewnić, że tém się nie skłonię do sroższego sądzenia jego przestępstwa.

— Przestępstwa! — przerwał Edward.— Jestże to przestępstwem nie puścić do siebie nikczemnego natręta? Nie Mości Panie! jeżeli jest wina w tej sprawie, ta pewnie nie z jego strony pochodzi.

— Z czyjejże mój panie, — zapytał P. Tampl, poglądając ze zwykłą spokojnością na młodzieńca trzęsącego się z poruszenia.

Pasował się aż dotąd Edward ze swemi namiętnościami, aby utrzymać krew zimną, ale ostatnie zapytanie wprowadziło go w zapomnienie się i ogień tłumiony z tém większą mocą wybuchnął.

— Z czyjej? — krzyknął z popędliwością — i WPan mnie o to pytasz? Nie od-

powieź na to własne wasze sumnienie; przybliź się do tego okna, spójrzyj na tę bogatą dolinę, na piękne jezioro i te pyszne góry; zapytaj własnego serca czyje są one, jakim sposobem stałeś się ich właścicielem i do kogo prawnie należeć powinny? Weźwij świadectwa Nattego i staro Mohikana, zobacz nie uważajali ciebie jako przywłaszczyciela cudzego dobra.

Marmaduk, wysłuchawszy całej perory bez okazania innego uczucia prócz zadziwienia, odpowiedział: — P. Edward zdaje mi się zapomina z kim mówi; słyszałem że jesteś potomkiem dawnych właścicieli tego kraju, ale małą zbyt korzyść odnieść musiałeś z wychowania, jeśli ci nie okazało ważności prawa białych do tej ziemi. Jeżeli to prawda, że masz przodków pomiędzy Indjanami, oni to jej odstąpili moim naddziadom, a mnie Bóg świadkiem, jeżeli źle użytkowałem. W moim domu dałem W Panu przytułek, ale w tej chwili opu-

ścić nas powinienes. Po słowach jakie z ust WPana słyzałem, pod jednym dachem żyć nie możemy. Proszę do mego gabinetu, wyplacę mu to co winienem. Jeżeli zechcesz usłuchać rad, do których wiek mnie upoważnia, WPana niewczesny postępek nie zagrozi mu jeszcze drogi w dalszém życiu.

Niepowściągniona gwałtowność uczuć Edwarda, gdy się uciszać zaczęła, wzrokiem obłąkanym prowadził za odchodzącym Marmadukiem i stał niejaki czas nieporuszony, jakby człowiek pozbawiony zmysłów. Nakoniec przychodząc do siebie, zwrócił się w stronę, gdzie Elżbieta jeszcze siedziała na sofie z głową zwieszoną na piersi i twarzą w rękach ukrytą.

— Miss Tampl, — powiedział do niej głosem słodczy i poddania się pełnym, — jam się zapomniał, zapomniałem o Pani. Słyzałaś co mówił ojciec, dziś jeszcze opuścić was muszę, lecz nie chciałbym

odchodzić obciążony gniewem twoim,
Pani!

Elżbieta zwolna głowę podniosła, na
twarzy smutek się jeszcze malował. Lecz
wkrótce oczy jej czarne zwyczajnym ogniem
zabłyły i na twarz żywe wybiły kolory.

— Ja Panu przebaczam, — rzekła postę-
pując ku drzwiom, — i mój ojciec przeba-
czy podobnież. Nie znasz nas jeszcze, lecz
przyjdzie dzień w którym zmienisz powzięte
o nas mniemanie.

— O tobie Pani! — przerwał Edward —
nigdy nie zmienię! nigdy! raczej.....

— Mówić, nie słuchać Pana chciałam.
Jest coś w tej sprawie, czego zrozumieć
dobrze nie mogę; ale pomimo to co tu za-
szło, powiedz Nattemu, że może polegać
na naszej przyjaźni i niech się bardzo nie
troszczy. Starania Pana nie mogą nadać
większego prawa do serc naszych, nad to
które on sam nabył, ani też postępowanie
Pana nie zmniejszy obowiązków, jakie jemu

winniśmy. Bądź zdrow Oliwierze, obyś mógł być szczęśliwym.

Edward chciał odpowiedzieć, ale tak nagle wyszła, iż jej i w przedpokoju nie znalazł. Wstrzymał się nieco, jakby zastanawiając się nad tém, co miał dalej począć, a nie wchodząc do Marmaduka udał się do chaty trzech myśliwych.

R O Z D Z I A Ł II .

Zmierzył świat, sfer niebieskich biegi wytłumaczył,
I pod wpływem księżyca miesiące oznaczył.

POPE.

LEDWO w nocy z niedzieli na poniedziałek powrócił do Tampltonu Rychard. Oprócz zwołania sądu przysięgłych, miał jeszcze do schwytania kilku zbrodniarzy, którzy ukrywając się po lasach fałszowali monetę i zalewali nią wszystkie Stany Zjednoczone. Wyprawa ta udała mu się wybornie: przyprowadził bowiem z sobą czterech takich dobrze skrupowanych zbrodniarzy, osadził ich w więzieniu i szedł do sędziego, bardzo z siebie uradowany.

Już było po północy, gdy przybył, i brama była zamknięta.

— Hola Adży! — wołał; — Adży lultaju, chcesz, bym stał do dnia pod bramą? Pódź tu Braw! szczekaj psie, szczekaj, obudź tego śpiocha. A to szczególniejsza? Czyś i ty zasnął jak inni? pierwszy to mu raz zdarza się dopuścić w nocy podchodzącego pod bramę i nie zwietrzyć domowego. Braw! pódźże tu! pódź sam, A! ledwoż go wywołałem!

Rzeczywiście widział on w tej chwili coś wylazącego z psiej budy, ale z wielkiem zadziwieniem postrzegął, iż się to zmniejszało w długości, podrastało, naresztę mniemany Braw w kształt ludzki się przerabiać zaczął, i, przy skąpém gwiazd świetle, poznał Adżego.

— A tyż do licha co tu robisz murzynie? czy dom dla ciebie nie dosyć ciepły, abys miał jeszcze Brawa z budy wypędzać i sam się w jego słomę pakować?

Tu murzyn zaczął się tłumaczyć zwykle niezrozumiałym sposobem: bredził o okropnym przypadku, o śmierci, o wykopanej jamie, pilnowaniu ciała; bez związku i ładu.

— Umarł! i pogrzebiony! — powtórzył Rychard głosem zmieszanym; — czy nie przypadek jaki Benijaminowi się zdarzył? Wiem, że chorował, ale to com mu raził w piątek, powinno go było uzdrowić.

— O nie, to gorzej jeszcze! — odpowiedział murzyn, — daleko gorzej! — i znowu mieszał nie do zrozumienia o spacerze Elżbiety i Panny Grant, sforował Nattego Bumpo z psem nieszczęśliwym, strzelał w panterę, ubijał kobietę i chciał pokazywać jak leży nieżywa.

Wszystko to było doskonale niezrozumiałe dla Rycharda; ale Adży zbiegłszy do kuchni przyniósł latarnią i pokazał mu rozciągniętego przy budce Brawa pływającego we krwi, którego murzyn uczcił

przykryciem surduta. Rychard nowe zadawał pytania i podobnież niepojęte otrzymywał odpowiedzi, gdy drzwi od sieni się otworzyły i wyszedł Benijamin ze świecą w ręku. Szeryf wstąpił do domu natychmiast, oddawszy wprzód konia Adżemu i polecając nad nim staranie.

— Powiedz mi Benijaminie, co się to wszystko znaczy? Jakim sposobem pies ten zabity? I gdzie jest Miss Tampl?

— W swojej kajucie.

— A brat Marmaduk?

— W izbie kapitana jak za zwyczaj.

— Ale jakim sposobem Braw zginął?

— Wszystko to tu znajdziesz, — odpowiedział Benijamin pokazując na tabliczkę kamienną; przy niej na stole stał dzban, todny prawie próżny, lulka z której się jeszcze kurzyło i stara książka do nabożeństwa.

Trzeba uwiadomić czytelników o tém, iż Rychard miał fantazją pisywania dzien-

ników, w których mieścił wydarzenia zaszłe nie tylko w domu sędziego, ale nawet całego miasteczka, a niekiedy jeszcze dodawał i postrzeżenia zmian powietrza. Skoro zaś z domu wyjeżdżał, co się dość często zdarzało od czasu wyniesienia jego na godność szeryfa, zobowiązywał Benijamina aby go w tém zastępował i dostarczał mu za powrotem potrzebnych notat do zapełnienia miejsc próżnych, zostawionych przez czas jego nieobecności. Niepokonanaby miał w tém trudność każdy, wyjąwszy Rycharda, gdyż Benijamin czytał tylko na książce do nabożeństwa bujnemi literami drukowanej, a i w tej jeszcze, chociaż na pamięć ją umiał, wiele wyrazów codzien wysylabizować musiał; pisać zaś ani jednej laski nie umiał. Lecz żadna zawada wstrzymać nie mogła genjuszu Dżensa. Wynalazł on w swej wyobraźni znaki hijeroglificzne służące do okazania rozmaitych zmian, któreby zająć mogły w powietrzu: co zaś do innych

wypadków, przestał na wyłożeniu zasad ogólnych, odwołując się z resztą do własnego pojęcia. Czytelnik teraz zrozumiał zapewne, że Ben-Pompa na taką kronikę wypadków zwracał uwagę Szeryfa.

Pan Dzens począł od wypróżnienia dzbana stojącego na stole, wydobył swój dziennik z szuflady i zasiadł do wpisania zdarzeń podczas jego nieobecności zaszłych, gdyż ciekawość jego wzbudzona była niezrozumianą mową Adżego i nie chciał iść spać wprzód nim onej nie zaspokoi. Benjamina oparł się jedną ręką o krzesło z przybraną poufałością, zostawując drugą na giestykulację koniecznie potrzebną do wytłumaczenia Rychardowi znaków przytrudnych ku odgadnieniu, co się dość często zdarzało. Pierwszy przedmiot jaki zwrócił uwagę Szeryfa był rysunek busolki, którą Benjamina wykreślił na samym wierzchu tabliczki, w jedném zaś tylko miejscu na niej dał znaczek krédą na pokazanie

swoich obserwacji. Wszystkie podziały były dosyć dobrze narysowane, tak przynajmniej aby mógł poznać ten, któremu nie są obce podróże morskie.

— Oho! — wykrzyknął Rychard, — wiatr był wschodnio-południowy ostatniej nocy. Wątpiłem o tém; alem się spodziewał, że nam deszczu napędzi.

— Niech mię licho, — odpowiedział Benijamin, — jeśli choć kroplę wydmuchał. Deszcz z całego miesiąca zebrany nie wystarczyłby na utrzymanie łódki starego Dżona, choć tylko na cał wody potrzebuje.

— Wiatrże nie zmienił się nad rankiem? bo tam gdzie ja byłem to się zmienił.

— A zmienił się i u nas, MPanie Dżensie: czyż nie widzisz małego znaczka ze strony wschodnio-północno-wschodniej i coś tam niby słońce wschodzące, dla pokazania, że zmiana ta zaszła zrana samego.

— Widzę, widzę. Ale słońce twoje ma minę księżycy, czemuś bo nie porysował promieni.

— Jest i w tém przyczyna MPanie Dżenie: bo niebo było pochmurne.

— Otoż i na prawdziwy księżyc trafiliśmy, a do tego na księżyc w pełni. Ale co u licha, Beniaminie, jak widzę wielki postęp zrobiłeś w rysunku! Tylko tego nie rozumiem? bo teraz księżyc nie w pełni. Co też znaczy ta klepsydra na stronie?

— Jest to mój własny interes P. Dżenie i mojej osoby się tycze. To co nazywasz księżycem nic innego nie jest jak portret Betty Hollister. Wiedząc, że ona ma nowy transport romu z Jamajki, idąc do kościoła zaszedłem skosztować, łyknąwszy szklankę na kredyt, jakem człowiek poczciwy dla lepszej pamięci wyrysowałem jej portret.

— A klepsydra cóż znaczy?

— To nie klepsydra Panie; to tylko

dwie szklanki, a spodnią przewróciłem, aby był zgrabniejszy rysunek. To się znaczy, że powracając z kościoła jeszcze jedną szklankę romu na kredyt wypilem. Ale że idąc wieczorem na trzecią opłaciłem wszystkie, możesz sobie i znaki pokasować jako niepotrzebne.

— Nie lubię tej mieszaniny twoich z moimi interesami, to przyczynia niewyrozumiałości. Kupię ci drugą tabliczkę na twoje osobiste notaty.

— Już nie potrzeba, P. Dżensie, gdyż przewidując, że często do tego portu przybijać będę, ułożyłem z Betty rachunek, póki ładunek romu trwać będzie; ona krédką znaczy za drzwiami, a ja karby na drzewie zarzynam.

Kończąc te słowa pokazał ten gatunek rejestru, na którym widać już było pięć głębokich razów.

Rychard spójrzał i znowu na tablicę zwrócił uwagę.

— Cóż znaczy jeszcze ta familja małp i szcurów?

— Proszę z uszanowaniem P. Dżeńsie. Ta pierwsza figura, którą po lewej stronie postrzegasz jest Miss Lizzy, a ta druga na stronie to córka pastora.

— Elżbieta i Miss Grant! A cóż one robią w moim dzienniku?

— A co one robiły naprzeciw pantery która im drogę zastąpiła, a którą W Pan szczurem nazwałeś? Ten zaś drugi nad którym kréska odrysowana jest biedny Braw, zginął on śmiercią walecznych, jakby admirał jaki walcząc za króla i za ojczyznę. A tamta osoba.....

— Chcesz mówić, to straszdyłło. —

— Tak, w rzeczy samej ma coś straszniejszego w postawie; i jak mi się zdaje nie podobniejszego w życiu mojem nie odrysowałem, bo to Natty Bumpo, który zabił panterę, która zabiła psa i która chciałyby zabić, zjeść, a może i co gor-

szego zrobić z obiema naszymi panienkami?

— Nie pojmuję co znaczą te wszystkie szarady?

— Tak, szarady! Dziennik *Boadycei* tak jasno i tak dokładnie nie był utrzymywany.

Tysiące pytań zadając, Rychard ledwo otrzymać potrafił obszerniejsze opisanie wypadku zdarzonego w lesie, czém tak był wzruszony, iż nie śmiał patrzeć dalej na tablicę; ochłonąwszy wkrótce, gdy rzucił wzrokiem nanowo, hieroglify na niej porysowane zdały mu się jeszcze bardziej niezrozumiałe.

— Cóż mi tu znowu zrobiłeś, — zapytał, — dwóch zapaśników? Czy bitwa jaka była w miasteczku? Już to zwyczajnie, abym się tylko na krok oddalił.....

— Jest to Sędzia z P. Edwardem! — odpowiedział Benjamina przerywając rubasznie.

— Sędzia w bitwie z P. Edwardem — odezwał się Rychard. — Piękny przykład daje dla parafii. Ależ do licha! więcej tu wypadków w trzydziestu sześciu godzinach, niż było przez sześć miesięcy.

— To prawda, mości Dżensie. Widziałem *Boadiceę* atakującą jedną korwetę, widziałem jak onę stłukła, zabrała; koniec końcem że mniej było pisania w dzienniku tego okrętu, jak na mojej tablicy. Ztémwszystkiém jednak nie przyszło do bitwy między sędzią i P. Edwardem; skończyło się na pocisku słówek, które sobie raczyli powiedzieć.

— Bądź łaskaw jaśniej mi to opowiedz Benijaminie. Bez wątpienia poszło to o kopalnię. Tak, tak, już widzę; poznałem po tym człowieku z motyką na plecach. A ty słyszałeśże sprzeczkę?

— Broń Boże, nie chodziło to o kopalnię Mospanie; oni tylko swój sposób myślenia wyłożyli nawzajem, bez żadnych ogródek.

Mogę o tém mówić najlepiej, bo okno było otwarte i ja nie opodał stałem. A co do tej figury, to wcale nie motyka na plecach, lecz kotwica. Czyż WP. nie widzisz, drugi ząb na grzbiet się zakrzywia, może troszeczkę zablisko, ale mniejsza z tém? To tylko znaczy, że młody człowiek zerwał kotwicę i w świat popłynął.

— Jakto? Edward wyniosł się z domu?

— Tak jest, wyniosł się.

Nowe wypytywanie rozpoczęło się, i Rychar d acz nie łatwo, dowiedział się nie tylko o rozprawie Edwarda z P. Tamplem, lecz jeszcze o daremném usiłowaniu Hirama i o sposobie jakiego użył Natty na odpędzenie go od swojej chałupy. Ledwo nasz gorliwy urzędnik wysłuchał historyi, którą Benjamine opowiadał osłaniając ile było można zły postępek Nattego, porwał za kapelusz, Benjamineowi kazał bramę zamknąć i pójść spać, sam zaś wyszedł tak nagle, że zdumiony intendent stał

z pięć minut jak posąg z wlepionemi oczami ku drzwiom i z rękami na krzyż złożonemi, nim pomyślał uskutecznić otrzymane rozkazy.

Rychard dla przytrzymania fałszerzów monety zebrał był silną straż w pomoc, która z nim razem przysłała aż do Tampltonu; pewien był, że ich jeszcze znajdzie w szyneczku przy więzieniu, zajętych ocenieniem i próbą trunków przedawanych przez dozorcę więzienia. W tym celu szedł przez uśpione ulice miasteczka, do budowli wznoszącej się w kształcie fortecy, która służyła na zamknięcie nie tylko ludzi przekonanych o rozmaite przestępstwa, lecz jeszcze i tych nieszczęśliwych dłużników, których wierzyciele dosyć są głupi na tracenie dwóch swoich dolarów, dla uzyskania jednego.

Wrzawa, jaką usłyszał podchodząc pod bramę, dowodziła mu, że się nie zawiódł w mniemaniu i że służba sądowa zamierzała

sobie wesoło noc tę przepędzić; spokojność jednak nastąpiła w moment, skoro tylko postrzegli przybywającego Szeryfa; ten wybrawszy z nich siedmiu najodważniejszych, rozkazał aby szli za nim. I tak na czele oddziału przeszedł znowu przez miasteczko, udał się na mostek przez jeden ze strumieni do składu Suskehanny należący, ztamtąd nad brzegi jeziora i w las się zanurzył. Tam się zatrzymał i na wzór Greckich lub Rzymskich wodzów, miał do rycerzy przemowę, jak następuje:

„Zapotrzebowałem moi przyjaciele, waszej pomocy, do ujęcia osoby Nattego Bumpo, pospolicie Kosmatym Kamaszem nazywanego. Śmiałek ten podniósł rękę na członka sądowego, wzbraniał wykonania rozkazu danego na rewizyą chaty jego, wymierzając strzelbę do urzędnika. Krótko mówiąc dał gorszący przykład buntu przeciw prawom i wystawił tém siebie na całą

ich srogość. Oprócz tego, podejrzany jest o inne przestępstwa ściągające się do rzeczy prywatnych; a jakem urzędnik, mam sobie za powinność schwytać go tej nocy, osadzić w więzieniu i przedstawić jutro izbie sądowej. Do spełnienia tego przedsięwzięcia, trzeba nam moi przyjaciele, odwagi i rostopności. Odwagi, abyście się nie dali przestraszyć strzelbą tego człowieka i psami których do obrony używać może; rostopności, znaczy się tutaj potrzeba bacności i uwagi, ażeby nie wypuścić z pomiędzy nas jego i dla wielu innych przyczyn których wyszczególniać nie mam potrzeby. Okrążycie jego chatkę około, a jak tylko krzyknę *na przód!* ci którzy najbliżej drzwi będą rzucą się do mieszkania zbrodniarza i schwytają go nie dając mu czasu do namysłu. Rozdzielcie się zatem, ażebyście zcicha podeszli każdy z innej strony; a ja zejść nad brzeg jeziora, naprzeciw drzwi samych. Ten punkt

ataku biorę na siebie, wy mnie tam znajdziecie do utworzenia potrzebnego łańcucha działań w podobnych razach.“

Mowa ta, którą Rychard układał i w myśli powtarzał w ciągu marszu, sprawiła skutki jakich się był powinien spodziewać. Otworzył on oczy swych ludzi na trudność i przypadki przedsięwziętej wyprawy, lecz jeśli nie zapalił w nich odwagi, wpoił dokładnie potrzebę rostopności; nie tylko zachowali przyzwoitą ostrożność w rozchodzeniu się by szmeru żadnego nie zrobić, nadto jeszcze każdy z nich starał się iść jak najpowolniej, aby towarzyszom dać czasu do ich uprzedzenia.

Rychard najdłuższą do odbycia miał drogę; tak się zdarzyło jednakże, iż przybył pierwszy. Skoro tylko stanął nad brzegiem jeziora, wykrzyknął ogromnym głosem umówione słowo: *Na przód!* i sam tylko posłuszny własnemu rozkazowi, pobiegł na miejsce gdzie była chatka Nat-

tego, dosyć zdziwiony, że czujne psy nie odpowiedziały szczekaniem na odgłos jego. Ale podziwienie jego bardziej jeszcze wzrosło, gdy zamiast chaty znalazł tylko reszty kurzących się części i kiedy niekiedy płomie wybuchał.

Oślupiały na ten widok, na który się wcale nie przygotował, tak się zdziwił, że słowa przez czas niejaki wymówić nie mógł; postąpił jednak na przód skoro usłyszał, że służba podchodziła, niemniej zdziwiona jak ich dowódca widokiem na wprost gorejących szczątków, gdy wtém z pośrodku zwalisk postrzegli wstającego człowieka, który podzegał ogień zbliżając jedne do drugich niedopalone główne i przy blasku wzrastającego ztąd ognia poznali w nim Nattego.

— Czego chcecie od starca niemającego przytułku? — zapytał ich. — Wygnaliście ztąd stworzenia, które Bogu podobało się w tém miejscu osiedlić; przynieśliście wy-

kręty i subtelności prawne w te miejsca, w których człowiek nigdy bliźniego nie skrzywdził; abym przeszkodził wam i waszym prawom wejść pod ten dach który głowę moję przez czterdzieści lat pokrywał, zmusiliście mię abym własną ręką podpalił i łzy nad popiołem wylewał, jakby ojciec nad zwłokami dziecięcia; zraniliście serce nędznego starca, który ani wam, ani braciom waszym nigdy nic złego nie zrobił, i to wtenczas gdy myśli jego lepszym światem zajęte być powinny; zazdrościć mu każecie losu zwierząt dzikich które krwi swojej nie pragną; i gdy zadumany myślą nad dogorywającą głównią swojej chaty, wy go napadacie wśród nocy jako psy wściekłe w ślad goniąc zmęczonego daniela! Czegoż więcej chcecie? Jestem jeden, a was kilku widzę. Zresztą płakać tu, a nie bić się przyszedłem; a jeśli taka wola jest Boska, róbcie ze mną co się wam podoba.

Skończywszy to mówić znowu ogień poprawiał, i niemyśląc w las uciekać, chociażby mu to łatwo przyszło, bo i ciemność była w około i w osłupienie wprawił swoich słuchaczy, podchodził z kolei do każdego z nich, jakby szukał tego któryby go miał pojmać. Żaden nie śmiał ręki nań ściągnąć; lecz gdy przyszedł był do Rycharda, ten już wracał do zmysłów i wzięwszy go za ramię pojmańcem swoim mianował, tłumacząc się zarazem z przykrej powinności, która go do użycia srogości takiej zmuszała. Straż skupiać się w koło natenczas zaczęła, i wzięwszy we śrzodek Nattego, poszli wszyscy do miasteczka mając na czele Rycharda.

W ciągu drogi rozmaite jeńcowi zadawali pytania, zdjęci ciekawością co się stało z Dżonem Moheganem i co skłoniło Nattego do spalenia swej chaty; lecz on odpowiadać nie chciał i do końca głębokie milczenie zachował. Przyszli nareszcie do

miasteczka. Rychard osadziwszy Nattego w więzieniu, zostawił wolne użycie pozosta-
jącej nocy dla swoich kompanów, sam
zaś powrócił do domu Sędziego i spać się
położył.

ROZDZIAŁ III.

Kajdan! łotrze! człowieku bez czci i bez wiary!
Dowiesz się za przestępstwo prawa jakie kary.

SZEKSPIR. Król Lear.

DLUGOŚĆ dnia w miesiącu Sierpniu dała dosyć czasu do zebrania się wszystkim interesowanym do Tampltonu, pierwiej nim dzwonek Akademicki ogłosił godzinę, w której usprawiedliwiać miano niewinnych a przestępców karać. Na wszystkich drogach które rozciągały się po dolinie i które z gór wywijały się postrzegać dawali się sędziowie, słudzy sądowi, adwokaci, ich przyjaciele, ich doradźcy i tłumy ciekawych przybywające pieszo, konno lub

w wozach, jedni dla braku, drudzy dla spełnienia zatrudnień; tych pierwszych liczba była największa.

Na pierwszy odgłos dzwonu wyszedł Rychard z oberży Smiałego Dragona, gdzie się pospolicie zbierali tameczni urzędnicy. Niosł w ręku pałasz w pochwę włożony, którym jak on dowodził, jeden z jego przodków władał na bitwie przez Kromwella wygranej. Jak tylko przybliżył się do drzwi, krzyknął głosem rozkazującym: *Miejsce sądowi!* Rozkaz natychmiast uskuteczniiony został, bez najmniejszej jednak oznaki niewolniczej uległości, gdyż większa część tłumu skłaniała głowę bardzo poufałym sposobem, niektórym z przechodzących osób sądowych. Za szeryfem postępowała straż sądowa z laskami do ich godności należącemi, za nimi szedł Marmaduk na czele czterech obywateli miasteczkowych, którzy do składu sądu należeli. Ubior tych czterech sędziów nie

różnił się w niczem od ubioru widzów którzy się nad pospólstwo wznosili; odróżniała ich tylko powaga, którą w tak ważnym razie przybrać mieli sobie za powinność. Potém szło czterech lub pięciu adwokatów; nakoniec drugi oddział straży zamykał ten orszak, a tłumy ciekawych postępowały z tyłu.

Wszystko to zmierzało do zamku sądowego wznoszącego się w obrębie więzienia. Weszli naprzód na dziedziniec którego cztery boki były otoczone budową, okna dawały się widzieć mocnemi lub słabszemi kratami obwarowane, w miarę zbrodni przestępcy lub winy dłużnika, którym udzielały światła. Na pierwszém piętrze była sala posiedzeń trybunalskich. W głębi sali na małym na trzy stopy wzniesieniu oddzieloném kratą z poręczem, stała dla sędziów ławka przy murze; szrodek tej przeznaczony dla prezydenta, dla większej powagi zasiadającego odznaczał się dwóma

poręczami. Naprzeciw wzniesienia postawiony stół, suknem zieloném przykryty, otoczony ławkami na których zasiadali adwokaci i obrońcy prawni. Po prawej stronie było miejsce dla przysięgłych, po lewej dla oskarżonych. I ta przestrzeń jeszcze była odgradzona balustradą. Reszta zaś sali słuchaczom zostawiona.

Nie będziemy mordowali czytelników opisywaniem szczegółów czynności sądowej przez dwie pierwsze godziny. Gdy sędziowie zasiedli, prokuratorowie zgromadzili się w koło stołu i szeryf nakazał milczenie, przywołano zwyczajnym trybem sprawy; po czém sędzia Tampl wezwał dwunastu obywateli przysięgłych do izby przybocznej dla rozebrania tam podanych im aktów zaskarżenia. Sądy tym czasem zajęły się sprawami cywilnemi, po czém najstarszy z przysięgłych wchodząc do sali, podał prezydentowi dwa dekrety zaskarżenia, na których P. Tampl postrzegł

od pierwszego rzutu oka imie Nattego Bumpo. Powołał do siebie szeryfa, kilka słów mu na ucho powiedział, ten zaś udzielił rozkazów swoim podwładnym, którzy wyszli i wkrótce wrócili, wprowadzając z sobą do sali Nattego i umieścili go na ławce oskarżonych pomiędzy dwóma ze straży sądowej dodanymi. Zgromadzeni słuchacze tak się wówczas uciszyli, iż słyszeć było można głos oddechu oskarżonego.

Natty miał zwyczajny swój ubiór ze skóry danielowej, któryśmy mieli sposobność wyżej opisać; lecz z powodu upałów letnich obchodził się bez wielu części odzienia, i teraz więc wyższą część ciała jego przykrywała tylko koszula z grubego płótna, szyję zaś zagorzałą od słońca miał obnażoną. Pierwszy raz w życiu znajdował się na zgromadzeniu izby sądowej, ciekawość przeto wydawała się na nim jako uczucie panujące w tym momencie. Oglądał z kolei sędziów, adwo-

katów, przysięgłych, tłumy zebrane i wszędzie spotykał wzrok ku niemu zwrócony. I sam więc siebie obejrzał dokoła, aby zapewnić się czy nie ma w osobie swojej czegoś nadzwyczajnego, potem rzucił oczyma na całe zgromadzenie i gębę stworzył na znak tego śmiechu cichego, właściwego jemu samemu.

— Odkryj się więźniu, — rzekł do niego sędzia Tampl.

Natty siedział nieporuszony.

— Natty Bumpo, odkryj głowę, — powtórzył sędzia.

Usłyszawszy swoje imie, — czego potrzeba? — zapytał, podnosząc oczy na P. Tampla.

Wstał wówczas P. Lippet, powiedział coś na ucho więźniowi, a Natty pojąwszy wtedy czego po nim wymagano, zdjął z głowy swą czapkę ze skóry danielowej.

— Mości Prokuratorze jeneralny, — rzekł sędzia — jesteśmy przygotowani do słuchania aktu zaskarżenia.

Dirck van der School, sprawujący naticzas tę godność, włożył na nos okulary, wstał i wzrokiem niepewnym i powątpiewającym rzucając na towarzyszków swoich którzy przy nim siedzieli, czytał głośno akt zaskarżenia, jako Natty Bumpo dopuścił się gwałtu przeciw czci i honoru Hiram Dulittla urzędnika, oraz wygnał go zbrojną ręką w czasie spełniania obowiązków jego urzędu. Gdy skończył czytanie, oddał pismo Panu Lippet, z miną zaufania która zdawała się mówić, proszę temu zaprzeczyć jeżeli można.

Natty słuchał aktu zaskarżenia z największą uwagą, widać było po nim jak wielki miał udział w tej sprawie, bo się nachylił cały ku czytającemu. Potém wyprostował się znowu i głęboko westchnął. Wszystkich oczy na niego patrzyły; czekano z niecierpliwością jego odpowiedzi, lecz on zachował milczenie.

— Natty Bumpo, — powiedział sędzia, —

słyszałeś dekret zaskarżenia podany na ciebie przez starszego z przysięgłych. Maszże co na obronę?

Natty skłonił głowę na piersi, jakby do namyślenia się, podniósł wkrótce oczy na P. Tampla: — Tego nie zaprę, — rzekł mu, — że go trochę niegrzecznie przyjąłem; lecz abym go miał wypędzać ręką uzbrojoną, jak o tém powiada ten zacny człowiek, jest kłamstwo prawdziwe; nie miałem nic więcej oprócz gołych pięści, stary, nie wdaję się teraz w zapasy; kiedyś to mi się zdarzyło... czekajcie, przypomnę, było to zdaje mi się, pierwszego roku ostatniej wojny.....

— M. Panie Lippet, — powiedział sędzia, przerywając mowę więźniowi, — jeżeli jesteś obrońcą zaskarżonego, powiedz mu jak ma sądowi odpowiadać, jeżeli nie, dodamy mu podług prawa innego.

Lippet, był zajęty czytaniem aktu zaskarżenia, powstał na te słowa i wyłożył

więźniowi potrzebę odpowiedzi krótkiej, to jest że był lub nie był winien.

— Nie jestem winien, — donośnym głosem odpowiedział Natty, — i mogę to mówić najczystsze sumnieniem. Jestże ten winien kto ze sprawiedliwością zgodnie postępuje; a ja natenczas pierwej dałbym się zabić, niżbym miał wpuścić kogo do chaty mojej.

Wstrząsł się Rychard na taką zuchwałosc i wzrokiem znaczącym spójrzył na Hiram, który podobnież brwi zmarszczył.

— Niechaj napiszą, — rzekł sędzia, — iż oskarżony zeznał że nie jest winien.

P. Van der School miał głos na poparcie winy, po czém przywołano do kratek Hiram Dulittla aby złożył swoją żalobę. Ten w wykładaniu szczegółów sprawy, zgodnie mówił z prawdą, lecz w takim świetle starał się wszystko wystawiać, by przytomnych umysły przeciągnąć na swoje

stronę i razem przygotować w nich niechęć ku oskarżonemu. Gdy skończył, P. Lip-pet prosił, by mu pozwolono skarżącemu zadawać pytania.

— Czy jesteś WP. sługą sądowym, naszego powiatu?

— Nie, panie; jestem sędzią pokoju.

— W takim razie, P. Dulitlu, w obec sądu WPana zapytuję, odwołuję się do własnego jego sumnienia i do znajomości prawa jaką posiadasz, czy miałeś Pau moc, w charakterze piastowanej godności, na wejście do domu obywatela pomimo jego wola?

— Hem! mniemam.... to jest zdaje mi się że.... ściśle rzeczy biorąc, nie miałem zupełnie prawa; lecz.... zważając naglącą potrzebę.... dodać winienem, że sługa sądowy był zanadto niedbały w wypełnieniu swojej powinności.... jedno z drugim.... zdawało mi się, iż powinienem był wziąć to na siebie.

— Lecz mój Panie, ten starzec, ten człowiek bez wsparcia, bez przyjaciół, nie zabraniałże W Panu wejścia do jego domu?

— Oh! mogę mówić, że był bardzo w złym humorze..... i nie miał do tego słusznych powodów, gdyż pomijając formalność, były to tylko odwiedziny sąsiada.

— Czy tak! — odezwał się Lippet, — były to odwiedziny sąsiada. Proszę panów przysięgłych aby raczyli pamiętać te słowa skarżącego. Ze to tylko sąsiad do sąsiada przychodził; zatem te odwiedziny sankcji prawa nie miały. Powtarzam jeszcze W Panu moje zapytanie, czy obwiniony nie wzbraniał W Panu wstępu do domu?

— To.... tak z sobą mieliśmy niejakąś rozmowę, ale ja jemu w głos czytałem mandat na rewizyą.

— Pan zbaczasz od pytania. Czy zabraniał panu wstępu? proszę o odpowiedź tak, albo nie?

— Powiadam panu, że on był w złym humorze, i..... ale ja mandat mam w kieszeni; jeżeli sąd życzy go przejrzeć....

— Odpowiadaj wprost i bez żadnych wykrętów, — z gniewem powiedział sędzia; — czy obwiniony zabraniał wstępu do domu swego?

— Hem!..... tak..... ale...

— I czy po tym oporze, trwałeś jeszcze w chęci wejścia do niego?

— Tak jest; lecz miałem w ręku mandat na rewizyą.

— Niech P. Lippet zapytuje dalej.

Lecz ten widząc, że odpowiedzi Hirama pomyslnie wrażenie zdziałały dla jego klienta i rozciąganiem niechcąc osłabić, rzekł z miną niejakiej pogardy: — Nic więcej nie mam do pytania; ubliżałbym pojęciu panów przysięgłych, gdybym jeszcze choć słowo chciał mówić.

— Daje się głos panu prokuratorowi jeneralnemu, — powiedział sędzia.

Van der School zdjął okulary, położył je na stole, spójrzał na drugi dekret zaskarżenia który trzymał w ręku, i skończył oświadczeniem, że polega na zdrowém zdaniu sądu i przysięgłych.

— Mości panowie przysięgli, — zawołał sędzia wstając ze swego miejsca; — słyszeliście akt oskarżenia i zeznanie świadka; chwilę panów zatrzymam moją uwagą, że jeśli słudze sądowemu wzbraniają wykonanie mandatu jemu powierzonego, ten ma niezaprzeczone prawo wezwać do pomocy każdego obywatela, wszystkie zaś czyny obywatela tym sposobem wywołanego, zasługują na opiekę prawa. Do was należy osądzić czy okoliczność podobna, mogła nadać moc sędziemu pokoju do wejścia w dom obywatela, pomimo jego opór, oraz czy obwiniony miał prawo uciekać się do użycia siły w tejże obronie.

Przysięgli nie wstając z ławek po kilku

tylko słowach ogłosili przez starszego jednomyślnie swe zdanie, że oskarżony jest niewinien.

— Natty Bumpo, — rzekł sędzia, — jesteś wolen od skargi na ciebie zaniesionej.

— Co takiego? — zapytał Natty nierozumiejąc dobrze wyrazu *wolen*.

— Sąd, — powtórzył prezydent, — ogłasza że nie jesteś winien złego postępku przeciw Dulittlowi.

— Oh! — odezwał się Natty, ze szczerością duszy pogładając w koło, — nie myślę zaprzeczać temu, że go trochę za mocno pchnąłem wzięwszy za ramiona, lecz.....

— Jesteś już wolen, — zawołał sędzia; — nie trzeba wznawiać tej sprawy.

Natty zrozumiał wówczas dobrze znaczenie wyrazu *wolen*, i zaspokojenie malowało się na jego twarzy. — Muszę ci wyznać sędzio Tamplu, że prawo wasze względem mojego postępku nie było tak

srogie jak się spodziewałem. Sądzę, że Bóg was nagrodzi za dzisiejszą waszą wyrozumiałość.

Skończywszy te słowa, włożył czapkę na głowę i zabierał się do opuszczenia ławki obwinionych, ale straż zastawiła przed nim swe laski na krzyż, P. Lippet kilka słów mu na ucho powiedział, więc znowu usiadł, zdjął czapkę i w tył zarzucił siwe swoje włosy, chociaż z podaniem się, lecz z nieukontentowaniem wyraźném.

— Niech pan prokurator jeneralny, przystąpi do odczytania drugiego aktu zaskarżenia, — powiedział sędzia.

Van der School, mocno usiłował, ażeby każde słowo przez usta jego wyrzeczone utkwilo w pamięci słuchaczów, szczególnie zastanawiał się nad temi które oskarżały Nattego o wymierzenie fuzyi przeciw słudze sądowemu wysłanemu do wykonania mandatu, takowy postępek, dodał,

oznacza człowieka zuchwałego, gwałtownego i chciwego krwi ludzkiej. Oskarżenie to ważniejsze od pierwszego, podwoiło interes we wszystkich przytomnych.

P. Lippet przybliżył się znowu do Nattego i przypomniał mu, aby odpowiadając nie rozszerzał się w mowie, lecz by tylko mówił, że jest *winny*; lub *niewinny*. Lecz niektóre wyrażenia aktu skarżącego rozgniewały starego myśliwca, i bez względu na rady prokuratora, z poruszeniem rzekł:

— Jest to kłamstwo! nie więcej jak prawdziwe kłamstwo! Nigdy krwi cudzej nie pragnąłem; te bestyje nawet Irokezanie nie powiedzą mi w oczy że krwi ludzkiej byłem chciwy. Biłem się zawsze jak żołnierz mający przed sobą bojaźń Boga i naczelnika swego, lecz nie walczyłem nigdy przeciw nieprzyjacielowi niebędącemu w stanie obrony. Nikt mi nie dowiedzie, bym zamordował jakiego Mingo w pościeli.

Mniemam, że są tacy ludzie, którzy sądzą że Boga w miejscu odludném nie ma.

— Bumpo, — rzekł sędzia, — słyszałeś oskarżenie ciebie, żeś fuzyą wymierzył na sługę sądowego. Jesteśże winny, lub niewinny?

Natty rozśmiał się niemyym sposobem otwierając gębę, i palcem wskazując na Billego, rzekł:

— Czy Billy mógłby się tutaj teraz znajdować, gdybym natenczas użył mej fuzyi?

— A zatem oświadczasz, — przerwał Lippet, — że nie jesteś winny.

— Zapewne że nie, — odpowiedział Natty. — Sam Billy niech powie czy wystrzeliłem. Pamiętasz Billy tego gołębia? Już nie mam ręki tak pewnej jak dawniej.

— Napiszcie że obwiniony wyznał, że winnym nie jest, — powiedział P. Tampl rozczulony prostotą więźnia.

Hiram był powołany powtóre jako świadek, lecz to zeznanie czynił z większym

daleko baczeniem niż pierwsze, nadspodziewanie nawet zachował dobry porządek w opowiadaniu wypadków wszystkich aż do momentu w którym Natty wymierzył strzelbę na Billego Kirby. Przywołany Jonathan podobnież mówił w tych samych prawie wyrazach. P. Lippet, obudwóch długo przetrzymywał na zapytaniach, nie mogąc nic pożytecznego wyciągnąć dla swego klienta.

Nakoniec Billy przystąpił do kraty i z kolei opowiadał ciąg wydarzenia, lecz tak się mieszał i tak niezrozumiale rzeczy tłumaczył, iż oprócz chęci jego, że prawdę chciał mówić, nic poznać nie można było.

— Z tego coś powiedział, — przerwał Van der School, — zdaje się że domagaliście się sposobem prawnym u obwinionego o wejście do jego chaty, lecz że pogroźki jego zastraszyły was niebezpieczeństwem życia?

— Nie, ja tego nie mówiłem, — odpowie-

dział Kirby trzaskając palcami; — jam nie na to stworzony, aby mnie stary Bumpo miał zginać przed sobą; i wcale się jego nie bałem. Zapytajcie go sami.

— Zeznałeś jednak, żeś myślał iż on chciał ciebie zabić.

— A pan cobyś pomyślał, gdybyś zobaczył wymierzoną do siebie fuzją, która nigdy celu nie chybiła? Jednakże ja się nie zląkłem; i on mnie tego nie powie że się zatrząśł: oddał mnie tylko skórę daniela, i rzecz na tém skończona.

— Nieprawdaż Billy, że to była dobra myśl moja, — powiedział Natty: — gdyż bez tego, nie obeszłoby się między nami bez krwi rozlewu; a gdyby to twoja popłynąć miała, resztę dni życia mego nie przestałbym cię opłakiwać.

— A więc, Natty, — powiedział Kirby, — ponieważ już jesteśmy na tym stopniu, chce mi się tobie powiedzieć, iż wierzę że

— P. Van der School, niechaj zapytuje dalej — powiedział Sędzia.

Lecz prokurator widząc zawiązującą się jedność między obwinionym i świadkiem, zaniechał dalszych zapytań.

P. Lippet, wstawszy natenczas, głos zabrał z kolei.

— A zatem, — przemówił do Kirbego, — więzień nie wzbudził w tobie strachu utraty życia?

— Ani on, ani nikt w świecie nie przestraszył mnie nigdy, — odpowiedział Billy z uradowaniem patrząc na mężne swe ręce; — nie tak łatwo tego dokazać.

— Takbym i ja rozumiał. A samże miałeś fuzję?

— Nie miałem.

— Ale używać umiesz tej broni?

— Albożem dla proporcji Wermontczyk: Jednego tylko Nattego Bumpo uznaję za mistrza w tym kraju i to od czasu ubicia gołębia.

— Jesteś młody, Kirby, — rzekł Natty — ja zaś coraz bardziej starzeję. Lecz nigdy ci złego nie życzę, a na znak zgody masz moją prawicę.

Lippet z radością patrzył, że duch zgody wpływ swój rozpościerał na świadku i obwinionym, i w milczeniu poglądał jak Billy ścisnął rękę starego strzelca. Lecz sędzia miał sobie za powinność wdać tu swoją powagę.

— Nie w miejscu jest podobna rozmowa, — rzekł do nich; — P. Lippet, niech nie ustaje, lub, jeśli nie ma dla nich zapytań, przejdziemy do innych zatrudnień.

— Pytam więc, — mówił adwokat obracając zawsze mowę do Kirbego, — czy zakończyliście zgodą te wasze spory, na miejscu samém?

— A czegożbym się z nim miał kłócić? On oddał skórę, a nam tylko tego było potrzeba. Mnie się zdaje że ubić daniela, to nie tak wielka zbrodnia.

— I rozeszliście się w przyjaźni?

— Bez wątpienia.

— I nie miałbyś myśli zanosić przed sąd skargi na niego?

— Na uczciwość, że nie.

— I jeszcze, nie wystąpiłżebyś przeciw niemu, gdybyś do tego powołany nie był?

— A na cóżbym miał występować! kiedy ja jemu nic złego nie życzę. To tylko P. Dulittl trochę się uraził.

— Dostyc na tém, odwołuję się z resztą do zdania panów przysięgłych, — powiedział Lippet siadając z pewnością osiągnięcia dobrych skutków.

Van der School długą miał natenczas mowę, ledwo zrozumianą dla mnóstwa nawiasów. Obstawał przy tém, że dowody są mocne, okazujące iż obwiniony uzbroił się strzelbą na odparcie sługi sądowego, niosącego mandat wydany przez władzę wyższą, prawną; że nie tylko uzbroił się przeciw wykonaniu mandatu, ale nadto

wymierzył fuzją na tego który ten mandat miał w ręku; nakoniec, iż na udowodnienie buntu przeciw prawom, nie trzeba było wystrzału, bo to pociągnęłoby za sobą skargę daleko ważniejszą, to jest skargę o zabójstwo, lub o chęć spełnienia onego.

P. Tampl wyłożył stan sprawy krótko, jasno i zwięzle, i same fakta w prawdziwym świetle wystawił. Mocno dowodził potrzeby szanowania praw w społeczności świeżo zawiązującej się, okazywał zgubę na jakąby się wystawiała, gdyby wykroczenia przeciwko prawom uchodziły bez kary. Lecz, z drugiej strony wykładał jako pobudki do zmniejszenia winy wiek, zwyczaj i niewiadomość więźnia, zakończył temi słowy, aby przysięgli sądzili z pobłażaniem, jeżeli w starcu nie widzą namysłu przestępstwa, lub złych chęci w spełnieniu.

Sąd przysięgłych dłużej tym razem namyslał się niż uprzednio, lecz i inte-

res publiczny przemagał nad przychylnością jaką dla się mógł zjednać więzień, dowody przeciw niemu dobrze wyprobowane kazały go winnym ogłosić.

Sędzia też chwilę rozbierał sprawę z członkami sądu i przygotował się do ogłoszenia wyroku.

— Natty Bumpo, — zawołał

Stary strzelec, który podczas namowy przysięgłych, miał ciągle łokcie wsparte na kolanach i twarz w rękach ukrytą, powstał słysząc swe imie, i głosem żołnierza odezwał się: — *Jestem.*

— Proszę o cichość! — rzekł sędzia. — Sąd mając wzgląd na waszą niewiadomość praw i wasz wiek podeszły, uwalnia od chłosty cielesnej, którą w podobnych razach prawo za karę naznacza: ponieważ jednak, głos powszechny chce mieć za to karę publiczną; sąd przeto naznacza wam stanie przez jedną godzinę u pręgierza, miesiąc jeden więzienia i opłatę stu dolarów

do skarbu publicznego, oprócz tego, póty z więzienia wypuszczać wzbrania, póki summa wypłacona nie będzie.

— Zkądże chcecie bym dostał pieniędzy, — zawołał Natty; — sądzicież że dolłary rosna w lesie? Powiedzcie sami gdzie mam ich znaleźć. Nie, sędzio, to nie podobna, myśl jak ci się podobać będzie; nie potępisz jednak ostatnich dni starca na srogie więzienie.

— Jeżeli masz co powiedzieć przeciw wyrokowi sądu, tedy cię słuchamy, — odpowiedział Marmaduk.

— Czyż tego nie dosyć, kiedy mówię że nie mam pieniędzy? Jakże chcecie abym zarobił sobie kiedyście mię zamknęli? czyż przez kraty więzienia złoty deszcz spadać będzie? Nakłońcie ucha do słusności. Wypuście mnie do lasu, gdzie nawykłem oddychać czystém powietrzem; dzień i noc będę polował, a jeżeli jeszcze nie odegnaliście z kraju waszego wszystkiej zwierzyny,

nimby jesień zeszła mógłbym dla was tę summę zapracować.

— Scisłe wykonanie prawa do mnie należy, — odpowiedział sędzia.

— Nie mówcie mnie o waszych prawach Marmaduku Tamplu. Zwierzę dzikie czy dbało o niegdy głodne było i spragnione krwi i ciała dziecięcia waszego?

Dziecię przed Bogiem uklękło, błagało go o większą łaskę niż ta o którą ja proszę, a Bóg je wysłuchał. Teraz więc, gdy moją prośbą pogardzisz, mniemasz może, że Bóg cię nie usłyszy?

— Obowiązki ojca, Natty, nie powinny bydz na przeszkodzie obowiązkom sędziego.

— Jeszcze nie byłeś sędzią, P. Tamplu, gdym pierwszy raz te góry oglądał; byłeś jeszcze dzieckiem na ręku matki noszoném. Czyżeś zapomniał dnia w którym na brzeg jeziora wylądowałeś, wówczas więzienia nawet nie miałbyś na pomieszkanie? Nie

zasłałemże tobie skóry niedźwiedzia do spania, nie nakarmiłemże zwierzyną głodu twojego? Aniś pomyślał natenczas aby zabicie daniela występkiem być miało. Robiłem to wszystko dla ciebie sędzio, niemając najmniejszych powodów do kochania, boś się złemi postępkami odpłacał tym którzy mnie lubili i mną się opiekowali. Sto dollarów! Skądże ja wezmę taką sumę? Wiele jest do mówienia o tobie sędzio Tamplu, ale tak złym nie jesteś abyś chciał więzić ostatki życia nędznego starca, za to tylko, że on nie w prawa lecz w sprawiedliwość wierzy. Nie obawiaj się; powtarzam abyś się nie obawiał, jeżeli są jeszcze na rzekach bobry, daniela na górach i pantery w lasach, do ostatniego szelunga uiszczę się z opłaty. A więc puść mię przyjacielu, nie jestem przyzwyczajony do takiego tłumu, potrzebuję lesnego powietrza, by wolniej oddychać. Hektor! Slut! pójdziecie tu? O, pewien jestem że

mnie pode drzwiami czekają. Będziemy mieć pracy, biedne stworzenia; ale dokażem swego; o tak, pewno dokażem.

Nie ma potrzeby mówić że sługa sądowy, do którego Natty w ten sposób mowę obracał, nie odpowiedział mu, lecz łaskę swoją zastawił zmuszając do pozostania na miejscu. Natty przybierał się nowe prośby przekładać, ale ruch jakiś zwrócił i jego i słuchaczy uwagę w drugi koniec sali.

Benjamin przez tłumy się przecisnął i żeby się na widok wszystkich ukazać stanął jedną nogą na oknie, drugą zaś oparł o poręczę ławki przysięgłych. Utrzymując tym sposobem równowagę, z niemałą trudnością wydobyl z kieszeni woreczek skóry, i z wielkiem zadziwieniem całego zgromadzenia, dawał znaki że chce mówić.

Odwracając się natenczas do sędziego, powiedział:— Jeżeli Wielmożny Pan zechce pozwolić temu staremu statkowi nowej wyprawy w lasy, przyniosłem tę bagatelkę

na zapewnienie o tyle ciężaru jego ładunku. W tym worku zawiera się trzydzieści pięć ważnych piastrów Hiszpańskich, a życzyłbym z całej duszy aby się dla pocziwego hołysza zmieniły w Angielskie gwineje: lecz że z worka nic innego wydobyć nie można, tylko to co się włożyło; więc one są tak jak i były piastrami, w których żadnego braku nie ma: otoż jeżeli P. Dzens zechce sprawdzić ten rachunek i potrącić to co się jemu należy, reszta pozostała będzie służyć na skwitowanie części sztrafu.

Mówiąc to, trzymał jedną ręką worek z dollarami, a drugą kawał drzewa na którym znaczył liczbę szklanek rumu wypitego w oberży Smiałego Dragona, kilka świeżych karbów świadczyło że tegoż samego ranka liczbę przymnożył. Śmiech ogólny powstał, sprawiony tą szczególniejszą przerwą, szmer nie ustawał aż póki szeryf nie stuknął końcem pałasza o stół, krzyknąwszy: — *Cichość!*

— Trzeba zakończyć tę scenę — powiedział sędzia, mocno wzruszony temi wypadkami. — Straż, niech odprowadzi więźnia do pręgierza; pisarz niech drugą sprawę przywoła.

Natty zdawał się ulegać swemu przeznaczeniu. Szedł za strażą w milczeniu z głową zwieszoną na piersi. Tłumy rozstały się dając mu miejsce do przejścia, całe pospólstwo wyszło z sali audjencjonalnej, aby się nacieszyć widokiem wiele dla niego ponęt mającym.

ROZDZIAŁ IV.

Ach! patrz, patrz! jak okrutne nosi on podwiąski.

SZEKSPIR, Król Lear.

KARY *prawa pospolitego* (1) w stanie Nowego Yorku były na ten czas chłosta i przęgierz. Tych, którzy na tę drugą karę skazani byli, sadzano u grubego słupa, zamykano ich nogi w obręcze żelazne przytwierdzone do ziemi i wkładano jeszcze ciężkie z łańcuchem okowy. Słup ten był wbity w bliskości więzienia, naprzeciwko drzwi, zapewne w celu przejęcia strachem tych którzyby mieli pociąg

(1) Common law.

do złego i odstręczenia ich widokiem kary dla nich przygotowanej; ociosany był we cztery ściany, tak iż czterech winowajców w jednym czasie tej samej karze ulegz mogło, każdy z nich w inną stronę zwrócony.

Do tego więc miejsca był prowadzony Natty przez służbę sądową, niemożność oparcia się sile dopomagała mu do przybrania postaci spokojnej uległości. Usiadł na ziemi i najmniejszego nie robił oporu gdy mu nogi żelaznym krępowano łańcuchem. Bez złorzeczenia, podniósł oczy, wzrokiem prowadził dokoła, jakby chciał szukać politowania, jakiego zawsze natura ludzka wymaga w swoich cierpieniach; lecz jeżeli więcej, nad litość, ciekawości w otaczających widział, przynajmniej nie było w nich tej dzikiej radości, jaka zwykle w podobnych się razach pokazuje, ani usłyszał nędznego urągania, od którego się rzadko ślepy motłoch wstrzymywać potrafi.

Gdy pachołek sądowy dźwigał brzęczące łańcuchy i zamykał okowy, Benijamin, idący ciągle obok więźnia, odezwał się głosem swarliwym, jakby chcąc szukać powodu do sprzeczki: — Jakież to głupstwo wbijać obręcze żelazne na nogi człowieka, jak na jaką beczkę! Powiedz mi Mości Strażniku, czy to jemu pić przeszkodzi? czy to jemu nogę skrzywi? słowem do czego to potrzebne?

— To taki wyrok sądowy, — odpowiedział pachołek, — a zatém zdaje mi się, że prawo tak chciało.

— Tak, tak, ja wiem że prawo tak chciało; ale pytam do czego to służy? Wszakże to nic nie boli, a kilka minut siedzenia kończy wszystko.

— To nic nie boli, Ben-Pompo! — zawołał Natty wzrokiem politowania potrzebującym rzucając na niego. — Czyż to nie boli siednudziesiątletniego człowieka, byź wystawionym jak zwierzę na wido-

wisko? Czyż nie boli starego żołnierza który przetrwał całą 56go roku wojnę, który w siedmiudziesiąt sześciu potyczkach widział nieprzyjaciela, kiedy się ogląda w takim położeniu, że go dzieci palcem mają prawo wytykać przy schyłku lat jego? Czyż i to nie boli, że człowiek uczciwy poniżony jest na równo z dzikimi zwierzęty?

Benjamin nic nie odpowiedział; lecz wzrokiem groźnym i przenikliwym pozie-
rał na tłumy, i gdyby był spotkał oblicze
czyje ze śmiechem na ustach, z pogardą,
lub pociechą, nie obeszloby się bez kłó-
tni; nie spotykając jednak tylko samę cie-
kawość lub nawet litość na twarzach, siadł
z mocnym postanowieniem obok starego
strzelca i żelazne obręcze sam sobie na
nogi pozakładał.

— Dalej, do roboty Mospanie Strażniku,
wkładaj okowy, zamykaj łańcuchy; a jeśli
jest kto ciekawy i ma chętkę widzenia

niedźwiedzia, niechaj na mnie patrzy, zobaczy takiego który tak dobrze kąsać jak i warczeć umie. No cóż, czy słyszysz?

— WPan żartujesz, P. Pompo, — odpowiedział pacholek — nie miałem rozkazu abym WPana u pręgierza zamykał.

— A jaż to ci nie każe? — zawołał Benjamine. — Któż taki u licha większe ma prawo nad moimi nogami, nade mnie? Wkładaj okowy, jeszcze raz powtarzam, niechno zobaczę kto mi podrwiwa?

— Na honor, nie widzę coby mnie przeszkadzało do dogodzenia WPanu, jeżeli to za tak przyjemne uważasz, — śmiejąc się z całej duszy powiedział strażnik. I kończąc te słowa zamknął mu na nogach okowy.

Wszyscy obecni z trudnością wstrzymywali gwałtowną chęć śmiechu, słuchając argumentów jakie Benjamine przekładał pacholekowi, aby ten karę przeznaczoną dla winnych na nim chciał spełnić; lecz

skoro go postrzegli przywiązanego do słupa, wcale nie myśleli sobie więcej zmuszać. Rozdąsany, podnoszącym się ze wszystkich stron śmiechem Benjamina, chciał powstać dla zaspokojenia na najbliższych swej zemsty; lecz zanadto gruntownie osadzony, nie mógł się bynajmniej poruszyć.

— No! no! hej! Mości pachołku sądowy! — zawołał, — pozwól mnie na moment popuścić kotwicy, niechbym poganiał trochę tych żartownisiów i dopytał się co mają za powód do tak głupiej wesołości.

— Nie mam czasu, — śmiejąc się odpowiedział pachołek, — trzeba, bym wracał do trybunału. Sam chciałeś bydz u pręgierza; bądź cierpliwy i posiedź póki nie wypuszczą więźnia.

Odgłosy śmiechu podwoiły się jeszcze po odejściu sądowego sługi; ale Benjamina widząc, że jego i groźby i usiłowania były równie daremne, nabierał cierpliwości za-

patrując się rostopnie na wzorową spokojność swego towarzysza, stopniami rysu gniewu jego zmieniły się w pogardę. Odwracając się wówczas do towarzysza, chciał go temi słowy pocieszyć.

— Wszystko to fraszka P. Bumpo. Znałem na *Boadicei* wielu zacnych ludzi, których jednak przywiązywano tak samo do wielkiego masztu, jedynie za to, że zapomnieli, iż wypili porcją groku na nich przypadającą i powtóre do podziału stanęli. Widzisz Waszmość, jest to to samo jak gdyby statek jaki ciszą został zachwycony; natenczas najdoskonalszy żeglarz nie doradzić nie może; ale to ciągle nie trwa, pierwszy wiatr żagle wydyma i statek znowu tak dobrze płynie jak pierwej. Jak żyć pragnę P. Bumpo, że cię nie opuszczę i jak nam tylko pozwolą podnieść kotwice, popłynę razem do twojej budki na bobry. Nie dla tego to mówię, abym miał siebie za doskonałego strzelca, bo też i przegna-

czenie mieściło mnie zawsze przy rozrządzeniu żywnością, ale nosić zwierzynę potrafię, a nawet mogę i sieci zastawiać. Dzisiaj zrana ukończyłem moje rachunki z Rychardem, oznajmię mu jeszcze, żeby imię moje z listy ekwipażu wymazał póki wyprawa nasza nie będzie skończona, która podług wszelkiego podobieństwa długo nie potrwa, zważając na to, że równie dobrze oszczepu jak i fuzyi używasz.

— Nawykłeś do towarzystwa z ludźmi żyjąc Ben-Pompo, i nie mógłbyś się przyzwyczaić do lasu.

— Bynajmniej, Mości Bumpo, bynajmniej. Nie jestem ja z tych żeglarzy, którzy w pogodę tylko płynąć umieją; i burza mnie nie zastrasza. Kiedy jestem czyim przyjacielem, to rozumie się, że do grobu. Ot tak naprzykład, Pana Dżensa tak kocham jak baryłkę romu, którą mistress Hollister ma z Jamaiki; ale wspomniawszy na rom, chciałbym żeby kto oznajmił, a onaby

nam trochę przysłała; zdaje mi się, że czuje nieco zdrętwienia w nogach, a toby odeszło po zwilżeniu wyższych części. Czy nie zgadzasz się na myśl moją, Mości Natty?

Natty siedział z głową pochyloną i oczami w dół spuszczone, nic nie odpowiadał, zatopiony w dręczących i zasmucających go myślach.

Benjamin milczenie wziął za zgodę starca. Wydobył z kieszeni worek skórzany w którym były dollary, odwiązał, spójrzył na otaczających, których liczba zmniejszać się zaczynała, gdyż znaczna ich część wracała do zatrudnień, i wypatrywał chcąc znaleźć takiego, któryby się podjął jego poleceń.

W tym czasie właśnie Hiram Dulittl, w towarzystwie Jothama, wychodził z sali posiedzeń sądowych. Zbliżył się do pręgiarza chcąc nasycić swą zemstę widokiem pogwałcenia ofiary przez się skazanej, stanął naprzeciw Nattego, który go spotkał

wzrokiem pogardy raczej niż gniewu. Zmieształ się trochę architekt; chciał się oddalić, lecz żałując przyjemności jaką mu ten widok sprawował, odwrócił się tylko do Jothama, podniósł do góry oczy, i obojętnie tak mówił:

— Nie ma i nie ma deszczu! zdaje mi się, że susza długo potrwa.

Natty, nie rzekłszy słowa, w drugą stronę głowę odwrócił, jakby unikając przedmiotu który mu przykrość sprawował; lecz Dulittl, ciesząc się ze swego tryumfu nad znękanym nieprzyjacielem, posunął się na prawo ku Benjaminowi, by stanąć znowu przed oczy starego strzelca.

— Możliwość pomyśleć, że kropli wody na niebie nie ma, — mówił dalej; — jeżeli to długo pociągnie, może być nie dobrze z płonami.

— Na cóżby deszcz z nieba miał spadać, — przerwał mu Natty, — kiedy wyściśnionemi łzami starca skrapiacie ziemię;

starca, który was niczém nie obraził? Precz ode mnie! precz ode mnie! możesz byđź stworzony na podobieństwo Boga, ale szatan duszę twoję opanował.

Benjamin widząc przybliżającego się Hiram, zawiązał dollary rzemykiem i znowu w kieszeń pochował. Szeroką dłonią nagle pochwycił cieślę za nogę i ścisnął jak obcęgi. Sędzia pokoju, tak niespodziewanie złowiony, nie miał ani czasu ani sposobu do użycia jakiegokolwiek obrony, gdyż Benjamin, korzystając i z dogodnego położenia i przewyższającej swej siły, targnął go nagle i na ziemię obalił, przyciągnąwszy go potem za obie nogi, przymusił siedzieć naprzeciw siebie. Zebrani do koła nie nadto sprzyjali Dulittlowi, aby go chcieli bronić, Jotham zaś zanadto tchórz aby miał się narażać.

— A co, zgiąłeś pawilon, ty pyszny statku kontrabandowy, — wykrzyknął Benjamin, — ani mi rusz kotwicy, bo cię

zatopię. Znam ja cię oddawna, wiem, że pod wszystkimi znakami pływasz, stosownie do okoliczności. Płaszczysz się łotrze przed P. Dżensem w jego obecności, a za oczyma z babami staremi i wszystkimi plotkami to go za żebra wieszasz. Czy nie dosyć ci było usidlić biednego i poczciwego starca, którego podeszwy nie wart jesteś? Przyszedłeś jeszcze uragać się odjąwszy mu wszelką obronę? Już to oddawna chciało mi się z tobą porachować, teraz czas dobry przyszedł; a więc gotuj się do obrony, bo zaraz sypnę ognia z obu rzędów okrętu.

— Jotham! Jotham! — krzyczał Hiram, — przywołaj tu straż. Panie Pengillan, pamiętaj, że jestem urzędnik; zabraniam tedy W Panu naruszać pokoju publicznego.

— Nie masz tu między nami ani pokoju, ani rozejmu, — odpowiedział Benjaminek podnosząc nań rękę. — Myślałbyś lepiej o

obronie, bo widzisz pięść, która ciężej na cię spadnie, niż młot na kowadło, a możesz jeszcze prosić o pardon.

— Uderz mnie, jeśli masz śmiałość, — odezwał się Hiram; — uderz, a ja
Więcej już nie mógł powiedzieć, gdyż Benjamin lewą ręką przydławił mu gardło i głos zatamował.

Już nie było żadnej wątpliwości o zamiarach Beniamina, bo i prawa ręka, którą trzymał podjętą ze ściśnioną pięścią, spadła z całą mocą na głowę sędziego pokoju, i nie podjęła się chyba na odpadnienie powtórne. Nieład i zamieszanie rozeszło się po całym zgromadzeniu: jedni uciekali ze strachu by o spółnictwo do zbicia urzędnika nie byli podejrzani; drudzy śmielsi, cisnęli się w koło bijących się, żeby lepiej sądzić o zadanych razach; kilku młodych pobiegło do domu Hiram, by mieć przyjemność uwiadomienia żony o przykrém położeniu jej męża; inni wpa-

dali w bramy więzienia, wołając na gwałt ratunku.

Przez cały ten czas nie zabrakło Beniaminowi zatrudnienia. Za każdym uderzeniem obalał Dulittla i za każdym razem podejmował go lewą ręką, boby inaczej miał sobie za poniżenie bić leżącego przeciwnika, zachęcał też jego co moment do mocniejszej obrony, obsypując go gradem kulaków, które już wysączyły krwi z nosa, podsadziły oko na łeb i wargi obżałowanemu z tej samej strony podbiły.

W tym momencie przybiegł zadyszany szeryf, uwiadomiony o akcji; oświadczył natychmiast, że oprócz zgrozy jaką uczuł na widok pogwałconego porządku, mając na pieczy pokoj całego powiatu, nigdy jeszcze w życiu takim smutkiem nie był przejęty, jak widząc niezgodę pomiędzy dwoma ulubionymi przez niego ludźmi: Hiram bowiem był koniecznie potrzebny jego dumie, a prawdziwy pociąg czuł do

Benijamina. Jakoż, pierwsze jego słowa, dosyć są jasnym tego dowodem.

— P. Dulittlu! P. Dulittlu! — powtarzał, — wstyd mnie pokrywa, gdy widzę jak WPan szanować nie umiesz własnej powagi i do tego stopnia się zapominasz, że pod bokiem sądu gwałcisz pokój publiczny, napastując i bijąc tak nieuczciwym sposobem biednego Benijamina.

Benijamin zaś postrzegając zbliżającego się szeryfa, wstrzymał igraszkę swej pięści. Hiram też podniósł głowę i obrócił się do nadchodzącego medjatora, a ośmielony obecnością jego, znowu płucami pracował.

— Będę miał sprawiedliwość, za taką uchwałę, nie ujdzie to bez kary! — krzyczał, — P. Szeryfie! obowiązuję WPana do przytrzymania tego śmiałka i wtrącenia go do więzienia.

Przez ten czas, Rychard lepiej się w rzeczy objaśnił i obracając się do Benijamina rzekł mu: — Jakże się to stało, żeś ty zam-

knięty u pręgierza, ty, którego zawsze miałem za człowieka łagodnego i spokojnego? Czyż nie wstydzisz się podobnego postępku? Zmuszasz jeszcze przyjaciół, by się za ciebie wstydzili. Ach! mój Boże, Panie Hiram, wszak to WPana i poznać z lewej strony nie można!

Hiram powstawszy i oddaliwszy się od groźnego intendenta, wściekał się wynajdując coraz nowe pogroźki zemsty. Szeryf, zamyślony nad bezstronnością, której tak wielki dał przykład Marmaduk ogłaszając wyrok na Nattego, i nad akcją Benijamina spełnioną w oczach takiego zgromadzenia, wywiązał uciążliwą potrzebę osadzenia w więzieniu swego faworyta, i dał do tego stosowne rozkazy straży, która Nattego uwolniła z pręgierza, po upłynieniu czasu przeznaczonego mu do siedzenia. Beniamin zrazu żadnej uwagi na swoją obronę nie podał; nie szukał nawet poręki za sobą aby na wolność był wypuszczony, lecz

szedł w milczeniu za Szeryfem, który, jego z Nattym, otoczonych strażą, do bram więzienia prowadził.

Stanąwszy Benjamine na miejscu, odwrócił się do Szeryfa:

— P. Dżensie — rzekł — nie troszczę się wcale, że dwie lub trzy nocy prześpię obok Nattego, mam go zawsze za uczciwego człowieka i poważam jak mistrza w sztuce strzelania i używania haku. Ale mniemam, że zamiast kary za zabicie z jednej strony, jak to sam powiadasz, do niepoznania, mordy tego łotra, jakiegoś dobrego chrześcijanina i człowieka zdrowego rozsądku, powinienbyś mnie za to podwójną porcją ofiarować. Wszakże to jest najgorsze lichy z całego kraju. Znam go oddawna, a rozumiem że i mnie dopiero musiał on trochę poznać, albowy pyski jego twardsze były od suchego drzewa. I co w tém tak złego widzisz P. Dżensie, że aż się sam wdałeś? Taka to była bitwa jak i wszy-

stkie inne, mógł on tak na mnie walić jak i ja na niego, prawda tylko, że nie jesteśmy jednego kalibru. A biliśmy się z zarzuceniami kotwicami, tak właśnie jak w porcie Port-Praja, gdzieśmy mieli potyczkę z Sufrenem.

Rychard sądził, że mu godność nie pozwalała odpowiadać na taką rozmowę, kazał więc wstąpić więźniom do mieszkania przeznaczonego dla nich, drzwi za nimi zatrzaskał i zamknął żelaznymi prętami, po czém sam odszedł.

Przez resztę dnia, Benjamina zajęty był przyjmowaniem mnóstwa odwiedzających go osób u kraty jego więzienia i niejedną szklankę toddy i flipu ze znajomymi wychylił; Bumpo zaś przechadzał się z wyrazem niespokojności na twarzy, z głową na piersi pochyloną. Pod wieczór przyszedł Edward pod okno i cicho lecz z poruszeniem rozmawiał z Nattym, który się potem trochę uspokoił. Billy Kirby, naj-

dłużej pod oknem bawił, około ósmej, odniósł wypróżnioną flaszkę do Śmiałego Dragona; stary strzelec zawiesił kołdrę na oknie, aby natrętni nie przychodzili mieszać jego spokojności i żadnego odtąd szmeru w izbie więźniów nie było.

R O Z D Z I A Ł V.

Ażeby uniknąć wroga
Co im srogie przysiągł kaźni,
Lecą w czwał pełni bojaźni;
Skończyła się wreszcie droga.

BUTLER. Hudibras.

SKORO sądy odwołano, przysięgli, świadkowie i zebrani widzowie zaczęli powoli się rozchodzić; około ósmej godziny z wieczora cichość już panowała w miasteczku, na ulicach żadnego prawie ruchu nie było.

Właśnie w tej samej godzinie sędzia Tampl z córką swoją, i w towarzystwie Miss Grant, przechadzał się po topolowych szpalerach, które do jego domu prowadziły.

— Nikt łatwiej jak ty, moja córko, nie potrafi ułagodzić tego wzburzonego umysłu — mówił P. Tampl; — lecz nie sądź, byś mogła go usprawiedliwić; świętość prawa szanowana być powinna.

— Trudno mi, mój Ojczy, abym uważała te prawa za słuszne, które skazały na tak ciężką karę Nattego, za przewinienie tak błahę.

— Mówisz o tém, czego nie znasz, Elżbieto. Żadna społeczność nie może trwać bez prawideł, te póty są zbawienne, póki ludzie szanują osoby, mające bacność nad wykonywaniem onych; i kiedy ubliżono temu poszanowaniu, cóżby powiedziano o sędzim, gdyby pobłażał przestępcy, bo ten życie jego córki ocalił?

— Czuję, mój ojczy, trudność twojego położenia, lecz rozbierając całą winę biednego starca, nie umiem w tym razie odzielić człowieka od urzędnika.

— Jeszcze się mylisz, moja córko; nie

chodziło to o wypędzenie Hirma Dulitla, lecz, że zagroził życiu urzędnika pełniącego obowiązek, że Natty.....

— Mało mnie to obchodzi, co mu było do tego powodem — przerwała Miss Tampl, idąc bardziej za popędem serca swego niż rozsądku; — wiem, że Natty nie winien, a będąc tak przekonaną, tych wszystkich mam za winnych, którzy go prześladują.

— A zatém i sędziego, który wydał nań wyrok, zatém ojca twojego, Elźbieto!

— O nie, nie, mój ojcze! Lecz nie pytaj mię więcej; czekam tylko na twoje rozkazy i biegnę one wykonać.

— Serce twoje Elźusio, za blisko twej głowy leży, — odpowiedział uśmiechając się Marmaduk. — Idź do więzienia, oto masz rozkaz, za którym cię wpuści do niego odźwierny. Weź jeszcze tę sakiewkę, w niej znajdziesz dwieście dollarów; nieś córko pociechę Nattemu i oddaj mu te pieniądze. Lecz wystrzegaj się zbytniej

czułości; pamiętaj zawsze, że bez praw bylibyśmy podobni do dzikich zwierząt; że Natty prawa naruszył; że sąd przysięgłych uznał jego winę i że ojciec twój wyrok na niego ogłosił.

Elżbieta nic nie odpowiedziała; przycisnęła tylko do serca rękę dającą sakiewkę i wzięwszy się za ręce ze swoją przyjaciółką, udały się główną ulicą miasteczka.

W milczeniu idąc omijały domy; już było się zmierzchno i żaden odgłos nie przerywał panującej na ulicy cichości, oprócz pary wołów ciągnących wóz siana, postępujących zwolna w tę samą stronę w którą szły dwie przyjaciółki. Ciężkim krokiem szedł obok nich woźnica, jak gdyby całodzienną był pracą znużony. Zatrzymał woły wdłuż murów więzienia i zarzucił obudwóm po kitce siana. We wszystkiém tém nic nie było nadzwyczajnego, ani wóz zatém ani woźnica nie ściągnął szczególnej uwagi Miss Tampl. Ale

gdy przechodziła koło niego, idąc do bram więzienia, które o kilka kroków były dalej, usłyszała go mówiącego do wołów, i głos ten ją mocno poruszył. Spójrzała na niego i pod grubém odzieniem woźnicy poznała Oliwiera Edwarda. Oczy ich spotkały się w moment i pomimo ciemność wieczora poznanie się było zobopólne.

— Miss Tampl! P. Edward! — jednocześnie krzyknęli, chociaż uczucie panujące w nich w tej chwili zdawało się wszelki głos tłumić.

— Czy się nie mylę? — rzekł Edward. Spotykamże w rzeczy samej miss Tampl w bliskości więzienia? Pani zapewne idzie do plebanii? Dobry wieczor miss Grant, przepraszam, żem jej od razu nie poznał.

Ludwika westchnęła tak cicho, że ją za ledwo przyjaciółka usłyszeć mogła.

— Nie, nie idziemy do plebanii — odpowiedziała Elżbieta; — lecz idziemy do więzienia. Chcemy przekonać Nattego, że

nie zapominamy jego usług, i chociaż jesteście niewolnikami prawa, niemniej przeto do wdzięczności skłonne jesteście. Jeżeli Pan także do niego idzie, będziemy prosiły o dziesięć minut cierpliwości. Bądź zdrow, P. Edwardzie, chcę..... żałuję bardzo, że go widzę w takim stanie. Jeśli byś się zgodził, jestem pewna, że mój ojciec.....

— Będę czekał, póki się Pani podoba, — zimno odpowiedział Edward. — Mogęż prosić nawzajem, abyście Panie nie mówiły nikomu o tém, żeście mnie tutaj spotkały?

— Możesz być pewnym — rzekła Elżbieta — że go nie wydaemy. I poszła dalej, wzięwszy za rękę swoją przyjaciółkę.

Gdy przyszły pod bramę więzienia, Miss Grant cichym głosem do niej rzekła: — Czy nie byłoby dobrze, abyś część tych pieniędzy oddała Oliwierowi? Ojciec twój pewnoby tego nie zganił, a tylko połowy

tej summy potrzeba do okupienia Nattego. Wiesz sama, że P. Edward nie jest przyzwyczajony do tak ciężkiej pracy, zaręczam że i mój ojciec udzieliłby ze szczupłych przychodów swoich, aby go podnieść do stanu bardziej odpowiedniego jego osobie.

Elżbieta nie miała czasu na to jej odpowiedzieć, gdyż przybycie odźwiernego zwróciło znowu jej myśli na powód przyjścia.

Wszyscy wiedzieli o ważnej przysłudze Nattego dla tych dwóch panien, i odźwierny zatem nie był bynajmniej zdziwiony widząc ich troskliwość dla więźnia. Zresztą rozkaz sędziego Tampla nie dozwalałby żadnych uwag, chociażby jaka na myśl mu przyszła; zaprowadził więc do mieszkania w którym siedział stary strzelec z Benjamine; skoro tylko kluczem zawiercił w zamku, usłyszano wewnątrz chrapliwy głos Benjamina: — *Baczność! Kto idzie!*

— Idą osoby które rad będziesz wi-

tał, — odpowiedział odzwierny. — Cóż wy tam w zamku zrobiliście? nie można otworzyć.

— Czekaj, czekaj, — wołał Benjamin — zagwoździłem armatę żeby nieprzyjacieli przeciw nam jej nie użył. Dostyc jednej bitwy na dzień, chociaż wiem że ten hultaj Dulittl dzisiaj nie powstanie i o to się nie troszczę. Lecz że to ktoś drugi nadchodzi, muszę więc sprzątnąć zawady do wnijscia.

Głuchy szelest dał się słyszeć w zamku na dowód że intendent mówił prawdę, i wkrótce potem drzwi się otworzyły.

Jużeśmy o tém mówili że od czasu wejścia do więzienia aż do ósmej wieczor Benjamin ciągle przyjmował odwiedziny. Wdzięczen za taką troskliwość, wszystkich z kolei częstował; worek jego nie jednokrotnie musiał się na to odwiązywać. A ztąd wynikło, że chwiał się teraz jak maszt okrętu burzą kołysanego. Jak tylko postrzegł wchodzącą młodą swoją panią,

czując się, jeśli użyjemy jego sposobu mówienia, że nie był bezpieczny na swoich kotwicach, oparł się plecami o mur dla zachowania przyzwoitej do przyjęcia postawy.

— Mości Ben-Pompo! — rzekł odźwierny, — jeżeli się ośmielisz dotykać drugi raz do moich zamków, to ci ofiaruję na nogi takie obrączki, że się i na krok od łóżka nie oddalisz.

— U nas na okręcie takie prawa, — powiedział Benjamin, — że kiedy nas zamkasz zewnątrz, to my cię wewnątrz nie puścimy.

Odźwierny postawił świecę na małym stoliku sosnowym, uwiadomił miss Tampl że już czterdzieści dwie minuty na dziewiątą, a jak godzina wybije zamykać musi więzienie, i odszedł.

Jak tylko Elżbieta usłyszała że odźwierny drzwi zamykał: — Natty! — rzekła do starca, — zacny mój przyjacielu, przycho-

dzę tu wypłacić zaciągnięty dług wdzięczności. Jakżeś nierostropny! czyżby się to wszystko stało, gdybyś się był poddał mandatowi rewizyi.

— Rewizyi w mojej chacie! — zawołał Natty. — Sądziyszże, Miss Elżbieto, że mógłbym wpuścić te jaszczurki do siebie? Nigdy. Wówczas, sarnie twe oczy nawet, które tak lubię, nie wyjednałyby tego pozwolenia. Teraz niech szukają w węglach i popiele, znajdą to samo co we wszystkich fabrykach potażu.

— Chatkę twoją Natty, można odbudować wygodniejszą nawet. Sama nad tém czuwać będę aby była gotowa po twojem uwolnieniu.

— Młode dziewczę! wynalazłaś sposób wskrzeszania umarłych? Możnaż pójść do grobu ojca, matki, dzieci i powiedzieć im wstańcie? Nie możesz znać jeszcze tego przywiązania do belek, które przez lat czterdzieści głowę ochraniały, do murów,

które się oglądało w najpogodniejszych czasach życia. Jesteś młoda, Miss Elżbieto, ale Bóg nic nad ciebie doskonalszego nie stworzył. Miałem myśl jedną, jedną nadzieję któraby się sprawdzić mogła, lecz teraz wszystko skończone: już więcej nie pomyśli, po tém co zaszło.

Znaczenie tych słów starego strzelca, Miss Tampl zrozumiała lepiej niż jej przyjaciółka: gdyż, kiedy ta zroszonymi oczami litości, najniewinniej poglądała na niego, córka sędziego niezwyčajny poczuła ogień na twarzy i oczy w dół spuściła. Wzruszenie to chwilę tylko trwało, wkrótce znowu wzrok na Nattego podniosła.

— A więc, wybawco mój, — rzekła — głowę twoją mocniejsze belki ochraniać będą, oczy spoczną na wygodniejszych murach. Oby koniec więzienia twego jak najprędzej przyszedł, znajdziesz wówczas dom gotowy na przyjęcie twoje i przepędzisz w nim resztę dni twoich w pokoju.

— Chęci twoje są dobre, Miss Elżbieto; ale spełnienie niepodobne; wystawiony raz na wzgardę i pośmiewisko ludzi, nie zniosę więcej ich widoku.

— Niech diabli porwą twój pręgierz! — krzyknął Benijamin potrząsając świeżo wypróżnioną flaszę. — Patrz na tę nogę, jaka prosta, a dzisiaj jeszcze krępowana u słupa. To mnie tyle frasuje, ile próżna flaszka. I stuknąwszy ją o ścianę rozbił na drobne części.

— Benijaminie, — rzekła Elżbieta, — zapominasz z kim jesteś.

— Ja, miałbym zapomnieć Miss Elżbieto! ja! prędzej *Boadiceę* bym zapomniał. Można zapomnieć jakie stare bacisko partacko sklecone, ciągnące wodę wszystkimi bokami, jak naprzykład *miss*ress Pettibonę, ale tak gładką fregatę świeżo wyszłą z warsztatu, z najzdrowszym całym przyborem!

— Milcz! Benijaminie; ja ci to rozkazuję.

— Jesteś moim kapitanem, Miss Elżbieto, posłuszeństwo winienem. Szczęście moje żeś mnie pić nie zabroniła.

— Więzienie twoje Natty, nie będzie zbyt długie, — rzekła Elżbieta zwracając się znowu do strzelca, — chciałabym abyś resztę życia przepędził w wygodach i obfitości.

— W wygodach i obfitości! — powtórzył Natty. — I jakąż wygodę w tym kraju mieć można, gdzie milę ująć trzeba, by drzewo znaleźć osłaniające od palących promieni słońca? Jakiejże można spodziewać się obfitości, gdzie czasem dzień cały polując, spotkać nie można jednego daniela, ani spłoszyć większego zwierza nad wieiórkę? Bobry, których szukać muszę na opłacenie summy nakazanej, stargają me siły. Sto mil ztąd pójść trzeba, aż ponad granice Pensylwanii, bo wasze trzebienie powyganiały te biedne stworzenia..... Mospanie Pompo, jeżeli i tę flaszę jeszcze

zechcesz wysuszyć, to ci nogi służyć nie będą jak przyjdzie potrzeba.

— Nie troszcz się P. Bumpo, niechno tylko nas zawołają, obaczysz jak rażno stanę.

— Otoż i moment już przyszedł, — rzekł Natty przysłuchując się pilnie, — słyszę jak woły rogiem mur więzienia drapia.

— A więc, kapitanie, — zawołał Benjamin, — czekam twojego rozkazu i podnoszę kotwicę.

Natty spójrzawszy na Elżbietę z prostotą:

— Nie zdradzisz nas Elżbieto, — rzekł do niej. — Nie chciałabyś wydawać starca, który powietrzem lasów potrzebuje oddychać. Krzywdy niczyjej nie pragnę, i jeżeli prawo wymaga abym sto dolarów zapłacił, wolności tylko potrzebuję abym się z długu uścił, a ten pocziwiec dopomóż mi do zbierania pieniędzy.

— Tak, tak, — odpowiedział Benjamin, — tylko nie na to abyśmy zebrawszy

je do morza rzucili; o tém nie myślę, abyśmy się mieli onych pozbyć na zapchanie tego sztrafu.

— Cóż przez to rozumiesz Natty? — przerwała Elżbieta. — Trzeba, byś jeszcze tu siedział dni trzydzieści; o zapłacie nie myśl, przynoszę ci na to pieniędzy. A więc, miej cierpliwość mój przyjacielu; często cię przyjdę odwiedzać; zbywać ci na niczém nie będzie; o twojém odzieniu sama mieć będę staranie.

— Miałażbyś tyle dobroci Miss Elżbieto, — rzekł rozrzewniony Natty, — tyle dobroci dla starca! Cóżem ci zrobił? Kosztowałoż mnie wiele zabicie zwierza dzikiego? dwa naboje prochu i dwa kawałki ołowiu! Zapomnienie więc przysług nie zaszczepia się we krwi. O! twoje drobne palce nie miałyby siły do spuszczenia skóry danjela, nieprzyzwyczajone nie potrafiłyby ścięgny zamiast nitki używać. O! powiem mu wszystko, niechaj wie, że jest

jeszcze istota, która wdzięczności nie zapomina!

— Nie mów mu o niczém, — rzekła Elżbieta; — jeżeli masz dla mnie przyjaźni i łaski choć trochę, nie powtarzaj mu tego. Ciebie jednego Natty, mam tylko na celu; dla ciebie tylko tutaj przyszedłam. Mocno jestem zasmucona, iż prawo ci miesiąc tu jeszcze siedzieć kazało; lecz czas ten prędko przeminie.

— Miesiąc! — zawołał Natty otwierając gębę do cichego śmiechu, podług jego zwyczaju; — ani dnia jednego, ani jednej nocy, ani godziny nawet, siedzieć tu nie będę! Sędzia skazać może na więzienie, lecz żeby w niém utrzymał, trzebaby lepszego niż to w którym nas zamknął; — i odsuwając Beniamina z miejsca, pokazał że belka jedna ze ściany już była wypiłowana. — Dosyć jest nogą trącić, — dodał, — abyśmy wyjść ztąd mogli.

— Do wioseł, do wioseł! — krzyknął

Benjamin; — wiatr mamy pomysły; ruszajmy polować na bobry!

— Ben-Pompa czyni mnie dużo niepokojnym, — rzekł Natty. — Ztąd do gór mamy dosyć wiele drogi; w ślad za nami iść będą niezawodnie, a on biedz nie jest w stanie.

— Nie myśl o ucieczce, Natty, — rzekła Elżbieta; — pomnij że prócz lasów, innego mieć nie będziesz schronienia, a starość coraz ci bardziej dokucza. Miesiąc, nie tak to wiele czasu, uzbroj się w cierpliwość, a z honorem ztąd wyjdiesz.

— A bobrów czy znajdę tutaj, Miss Elżbieto?

— Na cóż tu one potrzebne. Bierz tę sakiewkę; patrz, że będzie czém summę zapłacić. Dwieście dollarów w złocie.

— Złoto! — odezwał się stary strzelec z niejaką ciekawością dziecinną; — bardzo już dawno jak złoto widziałem. Pamiętam, że w dawnej wojnie łatwiej było znaleźć

złoto niż teraz daniela. Przypominam sobie jednego ubitego dragona z żołnierzy Dieskau, który ze dwanaście sztuk w koszulę był zaszył. Widziałem na własne oczy jak one wyporywano, chociaż nie dla mnie: o! większe były od tych.

— Są to gwineje Angielskie, Natty; jest to mały zadatek tego cośmy później dla ciebie postanowili zrobić.

— Za cóż mnie dajesz te skarby?

— Za co, Natty? Czyż mnie nie ocaliłeś życia? Czyż mnie nie obroniłeś od napaści wściekłego zwierza?

Stary strzelec wziął sakiewkę, i zaczął przezierać sztuki złota, jedną po drugiej, mówiąc zarazem:— Powiadają, że w dolinie wiśniowej jest do przedania fuzja bijąca dalej jak o sto kroków. Widziałem w życiu mojem dobre fuzje, ale takiej jeszcze mi się nie zdarzyło oglądać. Mieć zapewniony wystrzał na kroków sto, to nie złe. Bah! ba! jestem stary, a fuzja

moja dłużej potrwa ode mnie. Odbierz Elżbieto pieniądze. Ale już i czas nadszedł; słyszę jak mówi do swoich wołów; trzeba nam wychodzić. Nie powiesz nikomu, Elżbieto, nikomu nie powiesz.

— Czyżbym ja miała was wydawać! — rzekła Elżbieta. — Lecz sakiewkę zachowaj Natty; chociażbyś upierał się aby ztąd umknąć, pieniądze zawsze mogą ci być pożyteczne.

— Nie, nie, — odpowiedział Natty, wstrząsając głową i oddając sakiewkę jej do rąk; — za dwadzieścia najlepszych fuzji, nie chciałbym cię pozbawiać tej sumy. Ale mam jedną prośbę, którą Miss Elżbieta uskutecznić może, jeżeli tylko zechce; nie mam nawet kogo innego o to prosić.

— O cóż idzie? mów Natty.

— O to tylko, abys dla mnie kupiła rozek dobrego prochu. Będzie to cię kosztowało dwa dollary. Ben-Pompa ma przy

sobie pieniądze, ale nie ośmielamy się wchodzić do miasteczka. Znajdziesz proch w sklepie Francuza; ma on w najlepszym gatunku, właśnie taki, jaki mi jest potrzebny. Czy zrobisz mnie tę przysługę, Miss Elżbieto? czy zgadzasz się?

— Chętnie się zgadzam, Natty! Przyniosę, choćbym cię miała po lesie szukać przez dwadzieścia cztery godziny. Ale powiedz, gdzie ciebie będę mogła znaleźć?

— Gdzie? — powtórzył zamyślając się stary strzelec. — Na górze Widzenia. Tam jutro przyjdę o samém południu. Pamiętaj tylko aby proch był równy i błyszczący, taki najlepszy.

— Nie zapomnę, — rzekła Elżbieta.

Natenczas Natty popychając mocno nogą miejsce wypiłowane, którém miał wychodzić, wyrzucił kloc drzewa na ulicę, i zrobił dość obszerny otwor do przejścia na jedną osobę; stuk jednak był tak cichy, jak gdyby coś ciężkiego spadło na siano.

Obie przyjaciółki usłyszały to i domyśliły się natenczas przyczyny spotkania się z Edwardem przebranym w ubior wieśniaka.

— Dalej w drogę, Ben-Pompo! — rzekł Natty, — trzeba nam pośpieszać, bo za godzinę już księżyc wejdzie.

— Chwilę tylko, Natty, — przerwała Elżbieta; — niech twoja ucieczka z więzienia nie będzie w przytomności córki sędziego Tampla. Daj nam moment czasu abyśmy wyszły.

Wtém gdy kończyła to mówić, usłyszano odmykanie drzwi. Natty ledwo pośpiał pociągnąć Benjamina za nogi, aby posadzić i zakryć jego plecami dziurę w ścianie wyrobioną, gdy drzwi się otworzyły.

— Już wybiła godzina, — rzekł odzwierny wchodząc do więzienia; — czas już zamykać bramę, jestżeś Pani gotowa do wyjścia.

— Idziemy, idziemy, — odpowiedziała Elżbieta. — Bądź zdrow, Natty.

— Drobny i błyszczący, — zcicha rzekł Natty; — taki sięga dalej, a wiek już mnie nie daje dopędzać zwierzyny.

Elżbieta głowę tylko skłoniła i wyszła ze swoją przyjaciółką. Odzwierny idąc za nimi, drzwi na zamek zamknął, mówiąc że prętami zawaruje później gdy przegląd więźniów ogólny robić będzie, tak jak każdego wieczora. Odprowadził je aż za bramę, słyszały potem jak zamykał łańcuchem żelaznym i dwóma sztabami na kłódki, od których klucze przy sobie nosił.

— Ponieważ Natty nie chce przyjąć tych pieniędzy, — rzekła Ludwika, — możesz one oddać Edwardowi, dodawszy do tych, te które mój ojciec.....

— Cicho! — rzekła Elżbieta, — słyszę szelest na sianie. Boże! żeby ich nie odkryto!

Przychodząc do miejsca przy którym wóz się był zatrzymał, postrzegły Nattego i Edwarda mocno zajętych wyciąganiem Be-

nijamina przez otwor, którego korpus ledwo się mógł przecisnąć, leżał więc zadławiony jak belka której miejsce wówczas zastępował. Wyciągnawszy postawili go na nogach, lecz bez pomocy ściany równowagi nie mógł utrzymać.

— Wrzuć siano nazad do wozu, — rzekł Natty; — widzianoby bowiem jakiego użyliśmy sposobu do ucieczki.

W tym samym momencie, światło przez otwor błysnęło z więzienia i razem prawie usłyszano głos odźwiernego:

— *Gwałtu! w pomoc! łapajcie!* światło znikło, a kilka głosów powtórzyły podobne wołanie wewnątrz więzienia.

— Ten pijanica, — rzekł Edward, — nie jest w stanie iść z nami, trzeba go tu zostawić.

— Kogo kogo kogo to nazywacie pi pijanicą? — zawołał Benjamin.

— O nie, nie, — odpowiedział Natty —

on mnie połowę wstydu pręgięra oszczędził; nie zostawię go jednego w kłopotcie.

Usłyszano natenczas jak kilka osób wychodziło z oberży Smiałego Dragona, i poznano między innemi, głos Billego Kirby: — Co tam za wrzawa, — mówił, — w więzieniu, pójdźmy zobaczym co się tam dzieje.

— Rzućcie go na wóz, na siano, — szepnęła Elżbieta do Edwarda, mimo nich przechodząc — i zatnijcie woły.

— Bóg cię natchnął tą myślą, — rzekł Edward.

Wziąwszy go więc z Nattym włożyli na siano, dali bicz w ręce i popędzili woły, które się powoli ruszyły. Sami tymczasem pomknąwszy wdłuż murów, pod zasłoną ciemności, dostali się na uliczkę prowadzącą w drugi koniec miasteczka.

Ztémwszystkiem krzyki się podwajały, straż zbiegła się na odgłos; powód trwogi już był wiadomy, zebrało się też

kilkunastu mieszkańców około więzienia, jedni się śmiali z przypadku, drudzy przeklinali. Głos Kirbego najdonośniej dawał się słyszeć, wrzeszczał na całe gardło że zbiegów do więzienia odprowadzi, Nattego wsadziwszy do jednej kieszeni, a Benjamina do drugiej. — Biegajcie na górę, a żywo biegajcie, — dodawał, — bo niechno tylko do niej dojdą, to już ich nigdy więcej nie zobaczycie.

Młode nasze dziewczyny podwoiły kroku, by się czemp prędzej od takiego zamieszania oddalić; wbiegając do topolowych szpalerów prowadzących do domu sędziego, postrzegły dwóch ludzi za niemi idących z pośpiechem i ostrożnością; odwróciły się i w tymże czasie postrzegły przed sobą Nattego i Edwarda.

— Miss Tampl, — rzekł Edward, — bydl może już cię nigdy nie zobaczę; przed rozstaniem się pozwól, abym podziękował za twoją dobroć ku nieszczęśliwemu

starcowi. Nie wiesz, nie możesz wiedzieć jak wielkie mam obowiązki dla.....

— Uciekajcie! uciekajcie! — przerwała Elżbieta; — zwołano już na trwogę, wszyscy śpieszą pod górę; w tej stronie nie jesteście bezpieczni. Bieźcie żywo nad brzegi jeziora, odbijcie czołno mojego ojca, tym sposobem łatwo dostaniecie się do lasu w jakim zechcecie miejscu.

— Co na to powie P. Tampl?

— To do mnie należy; uciekajcie! uciekajcie!

Edward zcicha do niej kilka słów powiedział, które od niej samej tylko były słyszane i odchodził śpiesząc za jej radą. Potém Natty się przybliżył i rzekł: Nie zapominaj o prochu, Miss Tampl? pamiętaj, żeby był drobny i błyszczący; i psy się moje starzeją jak ich pan, trzeba więc dobrej amunicji!

— Idźmy Natty, idźmy, — z niecierpliwością zawołał Edward.

— Idę, idę, — odpowiedział stary strzelec. — Niech was Bóg błogosławi oboje, zacna młodzieży: niech was wynagrodzić raczy za dobre uczynki któremiście obsypały biednego starca!

Obie przyjaciółki stały jeszcze póki ich z oczu nie straciły; po czém przeszedłszy szpalery weszły do domu Pana Tampla.

Przez ciąg naszego opowiadania, Billy Kirby napotkał wóz na którym Benjamine był Faetonem. Wóz ten do Kirbego należał, zostawił go był przy małym mostku znanym czytelnikom naszym, gdzie go woły już były przywykły czekać póki sam pan nie ugasi pragnienia pod Smiałym Dragonem. Poznał swoje do razu.

— Ho! Golden, ho! — krzyknął do wołu przyprzężonego po przedzie dwóch drugich, — czegoż do licha ruszyłeś się beze mnie?

— Dalej do rudla! — krzyknął Benjamine i machając ręką na wszystkie strony, zaciął biczem po plecach Kirbego.

— Ach! któż tam siedzi u diabła? —
odezwał się uderzony, nie mogąc naprędce
po nocy poznać intendenta dworu Sę-
dziego.

— Ja, kto jestem? pytasz. Jestem stér-
nik i mam sobie powierzoną komendę nad
tym statkiem, którym widzisz kieruję . . .
A mówiłem ci, do rudla; albo cię w ten
moment utopię?

— Nie podnoś no tylko bicz a raz drugi,
bo cię uszy zabolą od moich pięści. Dokąd
pędzisz moją uprząż?

— Uprząż!

— A tak, moje woły i powóz?

— Trzeba żebyś Waszmość wiedział,
Panie Kirby, jeżeli to tylko Waszmość je-
steś P. Kirby, że Natty i ja, to jest Ben-
Pompa Czy ty nie znasz Ben-Pompy?
Otoż Ben-Pompa i ja Ej nie, nie
u stu diabłów! nie wiem jak ci to wytłu-
maczę. Cała rzecz na tém jest, iż naję-
liśmy ten statek do naładowania go skórami

hobrowemi. Ale wyznam ci Panie Kirby, że nic wiosłem nie umiesz robić, baba piką potrafiłaby zręczniejsz wywijać, świnia na pieprzu lepiej się zna jak ty na marynarce.

Kirby poznał naręszkę w jakim się stanie znajdował intendent; szedł więc przy wołach spokojnie, nic mu więcej nie mówiąc; a gdy Benjamina zasnął na sianie, Kirby bicz mu z rąk wyciągnął i popędził woły do lasu, gdzie nazajutrz o świcie miał pasiekę wycinać.

Elżbieta kilka godzin przez okno patrzyła. Widziała u spodu góry pozapalane pochodnie w ręku tych którzy zbiegów łowić powychodzili. Lecz po jakimś czasie powrócili bez skutku, i cichość do miasteczka wróciła.

ROZDZIAŁ VI.

Niestety! i mnie ujrzą gdy będę łyzy ronił!

Zawołał dzikich dowódzca sędziwy:

Lecz mi uleż boleści stan wodza zabronił,

I posępnej żałoby wyraz bojaźliwy,

Bym się do pieniów męztwa wmieszać chronił.

Gertruda Wyoming.

NAZAJUTRZ z rana, Elżbieta razem z Ludwiką udały się do sklepu P. Le Quoi aby czémprędzej wypełnić przyrzeczenie dane Nattemu. Znalazły już tam kilka kupujących osób; lecz Francuz, w każdym razie uprzejmy, zostawił przy nich swego pomocnika, a przybyłe młode dwie przyjaciółki zaprosił do swego pokoju.

— P. Le Quoi otrzymał zapewne jaką pomyslną wiadomość, — rzekła Elżbieta

siadając na podaném przez niego krześle; — ma dzisiaj tak wesołą minę.

— Ach! Miss Tampl, — z radością rzekł Francuz trzymając list w jednej ręce i uderzając po nim drugą, — ten list! ten list! co tylko go otrzymałem. Radość mnie unosi! Jeszcze kochaną moją Francją oglądać będę!

— Cieszę się ze wszystkiego co tylko P. Le Quoi rozwesela; mniemam jednak że nas nie zechce porzucać.

— Ach! Miss Tampl, gdybyś była zmuszona porzucić ojca, matkę, krewnych, przyjaciół, jakżebyś była rada znowu z nimi się połączyć! Słuchaj, słuchaj pani, przeczytam ci ten drogi list: *A Monsieur, Monsieur Le Quoi de Mersereau, à Templeton, New-York, Etats-Unis.* Przychodzi mi z Paryża. *Mon très cher ami. Je suis ravi d'avoir à Vous mander.....*

— P. Le Quoi czy nie raczyłby nam treść listu po angielsku wyłożyć — rzekła Elż-

bieta, pomnąc na to że Ludwika języka francuzkiego zbyt mało rozumie; — słaba nasza znajomość waszego języka, — dodała, — mogłaby ująć przyjemności nam zrozumienia wszystkiego?

— O! zapewne, zapewne — odpowiedział P. Le Quoi. I zaczął tłumaczyć, jak tylko mógł najlepiej, powod jego radości; ale tłumaczenie się oprócz tego że było niezmiernie długie, często jeszcze bywało niezrozumiałe i objaśnienia potrzebowało, gdyż po angielsku nie wiele umiał.

Rzecz była taka, że P. Le Quoi, tak jak i wielu opuszczających Francją na początku rewolucji, umykał bardziej ze strachu jak z potrzeby i udał się do Martyniki, gdzie miał wygodną własną posiadłość. Wpisany ztąd na listę emigrantów, gdy majątek uległ sekwestrowi, uciekł ztamtąd do Nowego-Yorku z zebranemi pieniędzmi, z którymi dosyć się dobrze, jak wiemy, obrócił, idąc za radą i pod opieką P. Tampla. List zaś

otrzymany donosił mu, że już jest wymazany z fatalnego spisu; że sekwestr zdjęty z jego majątku, i że mógł bez żadnego narażenia się wracać do Francji lub do Martyniki, podług jego upodobania.

W pośród tylu radości, P. Le Quoi w opowiadaniu powtarzał nieraz, że myśl tylko rozstania się z Miss Tampl jest mu nieznośna i nim ją opuścił wyjednał pierwszej przyrzeczenie pomówienia z nią na ustroniu w umówionym czasie, a mówił to z przybraną powagą, dla pokazania ważności przedmiotu jaki zamysłał. Elżbieta nabywszy rzeczy potrzebnej po którą była przyszła, znowu przez sklep wychodziła, gdzie zebrani wieśniacy i Billy Kirby między nimi z siekierą i skłutém na ramieniu, uszykowali się z poszanowaniem dając miejsce dla przechodzącej.

W milczeniu szły Elżbieta z Ludwiką aż pod górę Widzenia, która wyniosłém czołem panowała nad jeziorem i wioską, pod

nią to stała uprzednio chatka Nattego. Zastanowiwszy się pod górą, postrzegła Elżbieta śmiertelną bladość na twarzy jej towarzyszki, siły zdawały się ją opuszczać i nogi się chwiały.

— Cóż ci to, Ludwiko? — spytała — Czyś nie zasłabła?

— Nie, — rzekła Miss Grant, — ale drzę cała ze strachu. Za nic, za nic, nie pójdę z tobą jedną tylko na tę górę, gdzie nas spotkał tak okropny przypadek; nie mam sił, abym dalej iść mogła.

To niespodziewane oświadczenie wystawiło Elżbiecie całą przykrość jej położenia. Nie czuła ona żadnego strachu na niebezpieczeństwo które dawno przeszło, ale ostrożność naturalna w jej wieku i słabość płci wstrzymały ją na chwilę od dalszego samej jednej postępowania. Mocny rumieniec na twarz wystąpił przezł czas chwilowego namysłu. Skutek tego zastanowienia się do dalszej ją drogi ośmielił.

— Pójdę więc jedna, — rzekła do przyjaciółki. — Tobie samej tylko zwierzyć się w tém mogę, bez narażenia na schwytanie biednego Nattego, a gdybym obietnicy danej chybiła, pozbawiłabym go ostatniego sposobu utrzymānia się. O to więc tylko proszę, byś na mnie tu zaczekała, nie chcę bowiem aby mówili że jedna biegam po górach, lub ściągając podejrzenia niesłuszne, jeśli..... jeśli by przypadkiem..... przyrzekaszże czekać tutaj, droga Ludwiko?

— Rok cały, jeśli potrzeba, abym tylko miasteczko nasze miała na widoku; lecz tego nie wymagaj abym szła z tobą na górę, czuję to przedsięwzięcie nad moje siły.

Oddech przyśpieszony, obłąkane oczy i wszystkie członki Ludwiki drgające dostatecznie przekonywały Elżbietę, że jej towarzyszka iść dalej nie mogła. Wybrała zatem dla niej miejsce na ustroniu, z kąd miasteczko i całą dolinę Tampltonu wi-

dzieć mogła i razem zabezpieczona była od poglądań mogących przechodzić ludzi przez drogę, sama przyrzekłszy wrócić się do niej jak będzie można najprędzej, zaczęła iść na górę. Chyżym i śmiałym krokiem postępowała, troszcząc się, by w porę przybyła na umówioną godzinę, przetrzymana zanadto długą historją Pana Le Quoi. Nieraz jednakże dla wytechnienia zastanawiać się musiała, przypatrywała się natenczas nagłym odmianóm jakim dolina uległa. Długo trwające upały wysuszyły wszelką roślinę, porudniała jej zieloność, znikł cały powab czarodziejskiej piękności pierwszych dni lata. Niebo nawet upragnione zdawało się równie z ziemią cierpieć, mgły podobne do piaszczystych obłoków zachmurzały widok słońca, kropli wilgoci w atmosferze nie było. Wiatr niekiedy rozdzielał te masy pływające w powietrzu, wtenczas tylko błękit czystego nieba dawał się widzieć, jakby przyrodze-

nie samo zgromadzało sposoby do dania pomocy zmęczonej ziemi. Powietrze gorące zmuszało Elżbietę do częstego odpoczynku.

U szczytu tej góry, nazwanej przez sędziego Tampl górą Widzenia, była mała płascyzna, wytrzebiona umyślnie dla pięknego z niej widoku na miasteczko, jezioro i całą dolinę. Tamto Elżbieta wyobraziła, że na nią czekać będzie Natty, pośpieszyła więc tyle o ile jej dozwoliły ułamki skał porozrzucane, powalone drzewa, pnie, krzaki, słowem wszystkie przeszkody lasu od wieków staraniom natury zostawionego. Mocne przedsięwzięcie wszystkie trudy przełamało, doszedłszy do miejsca spójrzała na zegarek i kilku minut jeszcze nie dostawało do umówionej godziny.

Obejrzała się na wszystkie strony szukając Nattego i wkrótce przekonała się że jego nie było na wytrzebionej płascyźnie.

Sądziła jeszcze że się ukrył przez ostrożność, całą więc przestrzeń w koło obezła przezierając gęstwinę o ile wzrok mógł w niej zasięgnąć, lecz go nie postrzegła nigdzie. Naresztę przekonana że śmiało odezwać się może w tak odludném miejscu, odważyła się zawołać.

— Natty! Natty Bumpo! — wołała po kilka razy odwracając się we wszystkie strony; ale oprócz echa które jej odpowiadało w lesie, nikt się nie odezwał.

Wtém gdy wołać przestała, dał się słyszeć odgłos, w niejkiej odległości pod jej stopami; jakby w chwili mocnego dmuchnienia uderzył kto ręką po gębie i raptem oddech zatamował. Ani wątpiła że to Natty lękając się wydać, użył takiego sposobu by ją uwiadomił o miejscu schronienia, i zaraz udała się ku temu z kąd odgłos wyszedł. Zeszedłszy stóp ze sto, ujrzała małą płaszczyznę skalistą, ręką natury zdziałaną; drzew niewiele wyrastają-

cych z otworów pomiędzy skałami dawało się widzieć. Elżbieta stanęła nad brzegiem wyniosłości, z przerażeniem spojrzała na przepaść otwierającą się pod nią, lecz szelest z pomiędzy suchych liści wydobywający się w inną stronę zwrócił jej oczy. Pomimowolnie się wstrząsła na widok ukazującego się przedmiotu, lecz nie z przestachu, gdyż zaraz postąpiła ku niemu.

Stary Mohegan siedział na ogromnym pniu dębu nietkniętego ręką ludzką, oczy jego bystry wzrok utkwili w Elżbietę, wejście podobne przeraziłoby kobietę mniej odważną i mniej jego samego znającą. Sfałdowane na biodrach pokrycie zostawiało na widoku ramiona i wyższe części ciała. Medal Waszingtona miał zawieszony na piersiach, wiedziała Elżbieta że tę ozdobę w ważnych tylko kładł wydarzeniach. Długie i czarne włosy zagładzone na głowie, okazywały czoło i oczy

jego, które zazwyczaj pokrywał. Na uszach szeroko przeciętych, miał pozawieszane rozmaite cacka srebrne, pomieszane z paciorkami szklannymi, podług upodobania i zwyczaju Indianów. Podobne do tych ozdoby dźwigała chrząstka jego nosa. Czoło pomarszczone przerywały w rozmaitym kierunku pomalowane linije czerwone, które się na twarzy wykręcały stosownie do dziwacznych myśli jego lub zwyczaju narodowego. Całe jego ciało tym samym sposobem pomalowane było. Jednym słowem, postać jego cała oznaczała Indyjskiego wojownika przygotowanego do wydarzenia niezwykłej ważności.

— Ha! Dżonie, — rzekła Elżbieta zbliżając się do niego, — jakże ci zdrowie służy Moheganie? Dawnośmy cię w miasteczku widzieli. Przyrzekłeś mnie wypleść koszyk z łoży, i miesiąc upływa jak czekam na ciebie z uszytą koszulą.

Patrzył na nią Indyanin nic nieodpo-

wiadając, po chwili cichym i gardłowym rzekł głosem:

— Ręka Dżona już nie może wyplatać koszyków. Koszula już mu niepotrzebna.

— Lecz gdyby potrzebował, wie gdzieby onę mógł dostać. Wierz mi, stary Dżonie, ciebie uważam jako mającego przyrodzone prawo do tego, abyśmy potrzeby twoje zaspokajali.

— Córko, słuchaj wyrazów moich. Sześć razy lat dziesięć upłynęło od czasu, kiedy Dżon wiosnę życia swojego poczynił. Był on natenczas urodziwy jak sosna, prosty jak linija wystrzału Sokolego-Oka, silny jak bawół, zręczny jak lampart i waleczny jak Młody Orzeł. Gdy narod jego miał Mawkow do ścigania przez kilka słońc, oko Szyngaszguka umiało wynajdywać ich ślady. Zaden wojownik nie przynosił z bitwy tyle czaszek nieprzyjacielskich. Kiedy kobiety płakały, nie mając czém dzieci nakarmić, on był pierwszy do polowania, jego kula

dościgała daniela najbardziej rączego. O koszykach, nie myślał on wówczas.

— Czasy się odmieniły, Dżonie; zamiast bić nieprzyjaciół, nauczyłeś się Boga obawiać i w zgodzie żyć z ludźmi.

— Spójrzyj na to jezioro, córko moja, spójrzyj na góry i na dolinę; Dżon młodym był jeszcze kiedy wielka rada jego ludu, oddała Pożywaczowi Ognia ten kraj i wszystko co się w uim zawiera, poczynając od góry której w oddaleniu widzisz błękitne czoło, aż do miejsca gdzie wzrok twój widzieć przestaje bieg Suskehanny. Zaden Delawar nie zabiłby daniela w tym lesie, ani ptaka przelatującego ponad tą ziemią, ani ryby w tej wodzie pływającej, bo oni to wszystko jemu oddali, bo jego kochali, gdyż on był mocny i nimi się opiekował. Młodym był Dżon kiedy widział białych ludzi przepływających wielką wodę, aby swych braci z Albany wypędzić. Obawiali się oni Boga natenczas gdy ich toma-

hawek krwią bratnią był zroszony? Obawialiż się Boga ci którzy Pożywaczowi Ognia odebrali ziemię przez nas jemu oddaną, którzy onej pozbawili jego, jego dziecięcia i dziecko jego dziecięcia? Zyliż oni w zgodzie z ludźmi?

— Takie są zwyczaje białych, Dżonie; a Delawarowie nie robią podobnie? Nie podbijająż oni innych pokoleń Indyjskich? Czy nie zamieniają ziemi na proch, odzienie i inne towary?

— Gdzież jest odzienie, gdzie są towary które okupiły prawo posiadłości Pożywacza Ognia? Czy one do swego wigwamu przenosił? Czy powiedziano jemu: Bracie, daj nam twą ziemię, a bierz to srebro, tę odzież, ten rum, tę broń? Nie. Zdarli mu oni jego własność, tak jak się zdziera czupryna pokonanego nieprzyjaciela, ani się obrócili, by spojrzeć czy żywy został, lub umarł. Czy w zgodzie żyli z ludźmi, czy obawiali się Boga, ci którzy tak postępowali?

— Nie mogę ciębie zrozumieć, Moheganie? Nie dosyć znasz praw naszych, ani naszych obyczajów, abys mógł nas osądzić. Ojcaż to mego oskarżasz o niesprawiedliwość?

— Nie. Brat Mikona jest dobry; mówiłem Sokolemu Oku; mówiłem to Młodemu Orłowi: bo wiem, że to zrobi co sprawiedliwe.

— Kogo nazywasz Młodym Orłem? — spytała Elżbieta spuszczać w dół oczy. — Kto on jest? i z kąd przychodzi?

— Takżeś długo z nim żyła, córko moja, abys mnie o to się pytać miała? Starość ziębi krew w żyłach, tak jak zima zamraża wodę w jezierce i w twardy lód ją przemienia; lecz młodość ogrzewa serce tak jak promienie słoneczne ożywiają naturę na wiosnę. Młody Orzeł ma oczy, nie miałżeby języka?

— Przynajmniej nie ma go do odkrycia przede mną swoich tajemnic, — odpowiedziała Elżbieta trochę się śmiejąc, tro-

chę czerwieniąc; — zanadto przejął się Delawarami aby myśli swoich miał udzielać kobiecie.

— Córko moja, Wielki-Duch dał skórę białą twojemu ojcu, a mojemu czerwoną, lecz krew w nich wlał też samę. W młodości zapalczywy, porywczy; na starość zimny i spokojny. Czémże się różnią wewnątrz? Niczym. Dżon dawniej miał żonę; miał z niej tylu synów.—I podniósł do góry rękę prawą wskazując trzy palce. — Miał też i córki któreby mogły uszczęśliwić młodych Delawary wojowników. Dobra była moja córka, we wszystkiem woła ojca spełniała. Wasze zwyczaje, odmienne są od naszych, ale czy przeto rozumiesz, iż Dżon nie kochał żony swojej młodości i matki swych dzieci?

— Cóż się stało Dżonie z całą twą familiją? — spytała Elżbieta, mocno wzruszona zasmuceniem starca.

— Co się stało z lodem pokrywającym

jezioro ostatniej zimy? Stopniał i zmieszał się z wodą. Dżon żył zbyt długo, bo widział całą swoją rodzinę przenoszącą się w krainę duchów; lecz i jego godzina wybiła i on jest w pogotowiu.

Mohegan umilkł i głowę skłonił na piersi. Miss Tampl nie wiedziała co począć. Chciałaby w inną stronę skierować grobowe myśli starego wojownika i odwrócić smutek w nim panujący, lecz tyle godności w zaszcuceniu i odwadze Indyanina, milczącym poszanowaniem uwielbić musiała.

Po dosyć długim milczeniu, wznowić jednak musiała rozmowę.

— Gdzie jest Natty, Dżonie? Prosił abym mu tutaj przyniosła rożek prochu, a ja go nigdzie nie znajduję. Czy nie mógłbyś to wziąć do oddania?

Mohegan zwolna głowę podniósł, wyciągnął rękę do przyjęcia rożka i wzrokiem dręczącej go myśli pozierał.

— To jest największy nieprzyjaciel rodu

mojego, — powiedział; — bez niego, mogliżby biali wygnać ztąd Delawarów? Duch wielki nauczył ojców waszych sposobu robienia prochu i broni, na wygładzenie z ziemskiej posady rodu Indyanów. Wkrótce, skóry czerwonej nie będzie w tym kraju. Dżon jest ostatnim z jego pokolenia, a ono zniknie z tych gór, gdy jego powołają.

Stary dowódzca pochylił się na przód, łokieć na kolanach oparł i zdawał się oddawać dolinie ostatnie pożegnania. Wszystkie przedmioty jeszcze były wyraźne, chociaż powietrze coraz się bardziej chmurzyło i Miss Tampl czuła coraz większą w oddychaniu trudność. Wzrok Mohegana zmienił się stopniami, oko smutku przybrało wyraz obłąkania, postać jego podobna była prorokowi w momencie natchnienia.

— Duch jego złączy się z duchem ojców jego w nadpowietrznej krainie, — mówił dalej; — będzie miał zwierzyny tak obficie jak ryby w jeziorach. Kobieta za-

dna narzekać nie będzie na brak pokarmu. Polować będziemy na wyżywienie dzieci; tam ludzie czerwoni będą żyć w zgodzie.

— To nie jest niebo chrześcijanina Dżonie, — przerwała Elżbieta; — wpadasz znowu w przesady przodków twoich.

— Wszystko poszło, rodzice i dzieci, — mówił Mohegan, — wszystko straciłem! Jeden mi syn pozostał Młody Orzeł, i ten ze krwi białych pochodzi.

— Powiedz mi Dżonie — rzekła miss Tampl, chcąc przerwać ciąg myśli starca, albo też powodując się tajemnym pociąganiem swojego serca, — kto jest ten Edward? Zkąd masz do niego tyle przywiązania? I gdzie jest jego familija?

Wstrząsł się Indyanin na te pytania nagle zwracające myśli jego ku ziemi.

Wziął potém Elżbietę za rękę, posadził ją przy sobie i wyciągnąwszy rękę ku północy: — Patrzaj, moja córko, — rzekł do niej; — wszystko co widzisz z tej strony,

tak daleko jak wzrok twój zasięga, należało do jego.....

Lecz, gdy tak mówić zaczynał, kłęb dymu wybuchnął nad ich głowami i gęstemi massami nasuwając się ze wszystkich stron, nieprzejrzaną powłoką zasłonił widok na który patrzali. Miss Tampl przestraszona nagle powstała, spójrzawszy ku wierzchołkowi góry postrzegła tylko podobneż chmury, w odległości huk jakby srogiego uraganu dawał się słyszeć.

— Co się to znaczy, Dżonie? — rzekła; — zewsząd dymem jesteśmy otoczeni i nieznośne czuję gorąco.

Pierwej nim stary dowódzca mógł na pytanie odpowiedzieć, dał się słyszeć głos z głębi lasu z niezwykłą troskliwością wołający.

— Dżonie! gdzie jesteś? Moheganie! Las pali się! uciekaj, chwila jedna może cię zgubić!

Stary dowódzca nadał policzki i ude-

rzając ręką po gębie wydał taki sam odgłos, jaki uprzednio ściągnął uwagę Elżbiety. W tymże czasie dał się słyszeć tenten biegnącego z pośpiechem przez chrósty, i natychmiast ukazał się Edward z przerażeniem na twarzy.

ROZDZIAŁ VII.

Miłość włada na dworze, po wsiach i po lasach.

WALTER SKOTT, Pienie ostatniego Barda.

— **N**IKTBY mnie nie pocieszył przez całe życie, gdybym cię stracił, mój stary przyjacielu, tak okropnym sposobem, — zawołał zadyszany Edward przybiegłszy do Mohegana. — Wstawaj co najprędzej i ruszajmy. Płomień już otoczył tę skałę, a gdy zamarudzim, ogień się wzmoże i niepodobna będzie ztąd się wydobyć.

Elżbieta przerażona, bez przytomności prawie, usunęła się na stronę słysząc głos

Edwarda; Dżon podniósł rękę i pokazując na nią:

— Tę istotę ocal, — rzekł głosem bardziej poruszonym, — nie myśl o Szyngaszkuku; śmierć już go przyjąć powinna.

Edward odwrócił się w tę stronę gdzie Mohegan wskazywał, lecz postrzegłszy Elżbietę strachem przejętą, sam nie wiedział co począć i słowa wyrzec przez jakiś czas nie mógł.

— Miss Tampl! — zawołał wkrótce; — Pani tutaj! także to śmierć była dla ciebie przeznaczona?

— Czyż niepodobna nam się ocalić, P. Edwardzie? — odpowiedziała Elżbieta szukając zaspokojenia. — Widzę wprawdzie wiele dymu, ale płomienia jeszcze nie postrzegam. Ufam, że znajdziemy sposób ucieczki.

— Daj mi rękę, — rzekł Edward — nie w porę i zanadto cię może przeraziłem. Może jeszcze wrócimy tém miejscem, kędy

przyszedłem. Ale śpieszmy, bo chwili nie mamy do stracenia.

— A starego Indyanina czy oddamy płomieniom? czy zostawimy go na śmierć, jak on sam mówi?

Okropne wzruszenie malowało się na twarzy Edwarda. Zbliżył się do Mohegana, pociągnął go za rękę, lecz ten nic nie mówiąc odepchnął i dał mu znak, że na miejscu chce zostać.

— Nie myśl o nim, — rzekł Edward do swej młodej towarzyszki, ciągnąc ją pomimo jej wołania prawie, i śpiesznym krokiem dążąc ku miejscu z którego był przyszedł; — przywykł on do lasów; zna górę; widział już podobne przypadki; potrafi siebie ocalić, albo może na miejscu bezpieczny.

Mówił jednak tak skołatany i myśl tak miał roztargnioną, że tym pocieszeniem podwoił przestachu miss Tampl. — Edwardzie, — rzekła do niego — wzrok twój i twoja mowa mnie przerażają. Mów

mnie o całym niebezpieczeństwie jakie nas otacza. Jestże ono większe niż się bydz wydaje? Powiedz, mam dosyć odwagi do wytrzymania.

To mówiąc ciągle na przód postępowali, Elżbieta po raz pierwszy postrzegła płomień o kilka kroków.

— Jeżeli potrafim dójść do końca skały, pierwej nim ogień przetnie tę drogę, będziemy ocaleni, — mówił Edward głosem bardziej jeszcze wzruszonym; — lecz pośpieszajmy miś Tampl, idzie tu o życie.

Jużeśmy wyżej mowili, że miejsce to, na którym Elżbieta znalazła starego Indyanina, było jedném z tych skał wystających, na kształt okopu prostopadle spadającego do dołu, jakie się często napotykają w tym kraju. Podobna była do łuku napiętego, któregoby dwa końce łączyły się z górą w pochyłości mniej znacznej. Po jedném z tych niejako ramion Edward był przeszedł i teraz wracał na powrót ciągnąc

Elżbietę tak prędko jak tego wymagała nagłość przypadku.

Obłoki dymu białego zasłaniały im dotąd postęp niszczącego ognia, lecz trzaskanie tego okropnego pożaru coraz bardziej dawało się słyszeć i gdy dochodzili do brzegu płaszczyzny widzieli ciągle wybuchy ognia błyskającego niekiedy w powietrzu lub ciągnącego się po ziemi i zasilanego nowemi napotykanemi przedmioty. Przerażający ten widok pomnożył w nich usiłowania aby doścignąć mogli tego miejsca na którémby byli bezpieczni. Wązka droga tylko została do przejścia, płomień jeszcze jej nie tknął; lecz na nieszczęście kupy chróstów suchych znajdowały się na niej, które jakby błyskawicą nagle przed niemi się zapaliły i objęły w pożar wszystkie drzewa dokoła, a przechodniom zastawiły ścianę ognia naglącego do cofnienia się z miejsca. Żywo odbiegli nad brzeg płaszczyzny, tam się wstrzymali poglądając

z przestraczem na wzrastające nagle płomienie po obu bokach góry, szerokim ogniem z wierzchu już przykrytej.

Mieszkańce zwykli byli na tej górze ściąć drzewo do budowy potrzebne. Wyciągali z niej same tylko kłody, wierzchy i gałęzie zostawiali na miejscu. Te przez długi czas i ciągle upały mocno wysuszone, zapalały się za dotknięciem najmniejszej iskierki, a niekiedy w jednym momencie całe ogniem płonąć się zdawały.

Widok ten równie piękny był jak okropny, i oni poglądali czas niejaki na postępy tego zniszczenia, zdjęci razem podziwieniem i przestraczem. Lecz Edward myślał o nowych usiłowaniach; i wzięwszy swą towarzyszkę, próbował w kilku innych przedzierać się miejscach, idąc nawet przez gęste dymy oddech duszące, i zawsze płomienie spotykał.

Tym sposobem całą płaszczyznę w półkole obeszl i znowu ponad spadzistość

wrócili. Okropne przekonanie że byli zupełnie otoczeni ogniem, stanęło im na myśli. Póki zajęci byli szukaniem przejścia, póty jeszcze nadzieja utrzymywała Elżbietę; ale gdy już wyjście było niepodobne, okropność położenia całą moc na nią wywarła, jak gdyby dotąd zrozumieć jeszcze nie mogła ogromu nieszczęścia.

— Przeznaczenie chciało aby ta góra zawsze dla mnie była fatalną, — rzekła głosem przerywanym z przestachu; — grób nasz tutaj znajdziemy.

— Nie trać odwagi, miss Tampl; jeszcze nas nie odbiegła nadzieja, — rzekł Edward, ale pomieszenie na twarzy jego mówiło inaczej. — Trzeba rozpoznać tę stronę skały, może znajdziemy miejsce do zejścia podobne.

Przebiegli tę stronę ostatnią, ale wszędzie skała ostro ścięta kończyła się gładką ścianą, nawet nie miała szpary do postawienia nogi. Poznał Edward, że zejście

było niepodobne i z rospacją wyszukiwał innych sposobów.

— Nasze ostatnie, nasze jedyne wybawienie, — rzekł stroskany, — byłoby spuszczenie Pani na dół tej skały. Ale jak tego dokazać? Gdyby Natty był tutaj, gdyby z osłupienia ocucić można było starego Indyanina, możeby na to wynaleźli sposób; ich umysł jest twórczy, lecz ja w tym razie jestem dzieckiem, nic pojąć, nic wymyślić nie zdolny. Jednakże, trzeba spróbować, tak; trzeba wszystkiego się chwytać, aby ciebie wyrwać z tak okropnej śmierci.

— Lecz nie myśl o mnie jednej, Edwardzie; pamiętaj też o sobie i o Moheganie.

Już on słów tych nie słyszał, gdyż pobiegł do starego Indyanina. Prosił go o wierzchnie odzienie, które Dżon mu oddał natychmiast, nie pytając na co i z miejsca swego się nie ruszając, chociaż to było najniebezpieczniejsze z całej płaszczyzny,

najgęściej bowiem drzewami pokryte. Podarł w długie szmaty wzięte i swoje odzienie i kurtkę swoją, pozwiązywał wszystkie części jedne z drugimi, przyłożył jeszcze i szal Elżbiety, rzucił ten rodzaj sznura na przestrzeń wysokości skały trzymając ręką za koniec i z rozpaczą przekonał się, iż nie dochodził do połowy głębokości spadu.

— Już więc po wszystkiém, — rzekła Elżbieta; — nie ma nadziei! Śmierć nam tylko została. Płomienie zwolna zbliżają się, ale zbliżają się ciągle. Patrz, ziemię nawet zdają się pożerać.

Gdyby płomienie skałę tak rychło chwyciły, jak przelatywały z drzewa na drzewo w innych częściach lasu, to dręczące opowiadanie nie byłoby tak długie; jużbyśmy tylko opłakiwali tragiczny koniec dwóch istot, podwójnie w tém smutném położeniu cierpiących z mocy wzajemnego jednej ku drugiej przywiązania. Lecz pęd ognia

znajdował w tej stronie przeszkody, na pokonanie których czasu było potrzeba; ta więc tylko okoliczność obdarzyła Elżbietę i jej towarzysza momentem, jakiego użyli na usiłowania przez nas opisane, ku wydobyciu się z tak okropnego położenia.

Cienka powłoka nędznej ziemi pokrywająca skałę mało wydała roślin w tém miejscu, a i te zwiędły z niedostatku soków pożywnych. Wiele sosen, dębów i klonów wyrastających z otworów skały od dawnych lat wyschłe sterczały, inne też z niewielką ilością liści z czarną powłoką gałęzi, okazywały widocznie, że nie długo żyć miały. Gdyby połączenie było tylko łatwe, lepszego zasiłku nad ten nie miałyby płomienie, ale ziemia nie była pokryta suchymi gałęziami, ani opadłymi liśćmi, ani też temi chróstami, które po całym lesie gwałtownością potoku ogień rozniosły. Oprócz tego jeszcze, jedno z obfitych źródeł, tak licznych na górach Otsego, wypły-

wało z tej skały, rozlewało się po mchu pokrywającym jej powierzchnią, i kręcąc się koło swego początku, na kształt strumyka wpływało do jeziora, idąc spadkami podziemnymi wydrążonemi w skale i ukazując się w niektórych miejscach na przestrzeni ziemi. W dżdżystej porze, w groźnej postaci ukazując się ten zalewał brzegi swego łożyska; lecz podczas suszy, ledwo go można było poznać po utrzymującej się wilgoci i znakach od wody pozostałych. Gdy ogień doszedł do tego przedziału, musiał wstrzymać niszczącą siłę, pókiby skupione zewsząd gorąco nie pokonało napotkanej zawady.

Straszna ta chwila zdawała się już nadchodzić. Zbytek gorąca wysuszył nakoniec strumień i źródło, wyciągnął całą wilgoć ze mchu ścielącego się w jego łożysku, ułamki kory odpadały palące się od pniów wysuszonych. Miss Tampl nad brzegiem wyniosłości ponad przepaścią stojąc, na

widok zbliżającego się ognia niczém nie wstrzymanego, czuła w przestrachu ziemię pod jej stopami się palącą. Niekiedy wiatr napędzał ponad płaszczyznę kłęby czarnego dymu, wówczas ciemność połączona z trzaskaniem ognia i łoskotem walącego się drzewa, powtarzanym jeszcze przez wszystkie echa, mnożyły okropność sceny. Ze trzech istot wystawionych na tę próbę, Edward najbardziej był poruszony. Elżbieta, straciwszy wszelką nadzieję, nabrała ostatecznej rezygnacyi, jaka zwykła bywać udziałem płci słabszej, gdy przychodzi się znosić nieszczęśliwe lecz niecofnione razy. Mohegan, najbliższy niebezpieczeństwa czekał jego przybycia ze spokojnością Indyjskiego wojownika. Wzrok jego utkwiony w górach zdala się ukazujących, zwrócił się kilka kroków z wyrazem litości na młodą parę poświęconą niewczesnej i okrutnej śmierci; lecz wkrótce odwracał się znowu ku temu samemu przedmiotowi, jak gdyby

chciał przeniknąć odmet ciemnej przyszłości. Cichym gardłowym głosem, zwyczajnym jego krajowców, śpiewał przez ten czas pieśni w Delawarów języku.

— W takiej ostateczności, — rzekła do Edwarda Elżbieta, — różnica stanu ustaje; nakłoń Dżona, by przyszedł do nas; umierajmy razem we troje.

— To niepodobna, znam ja jego, — odpowiedział Edward; — on się z miejsca nie ruszy. Zestarzały; od niejakiego czasu już czuł osłabienie, chwila ta zdaje mu się być najszczęśliwszą w jego życiu. Ach! Pani, jeżeli w tej śmierci jest jaka pociecha, to chyba ta że z tobą ją znoszę.

— Nie mów tak, Edwardzie, — rzekła Elżbieta; — serca nasze w tej chwili głuche być powinny na ziemskie uczucia. Umrzemy, tak jest, umrzemy niezawodnie; taka jest wola Bozka i tej poddać się jako posłuszne dzieci winniśmy.

— Umrzeć! — zawołał Edward jękiem

przerażającej rospaczy; — nie, nie umrzesz! nie, jeszcze nie utraciłem nadziei.

— Jakaż mieć możesz na uniknienie śmierci? — pytała Elżbieta, pokazując spokojnie zbliżający się ogień. — Patrz! płomień już pokonał zawadę, już wypalił ziemię wilgotną. Zwolna przybliży się, ale postęp ma niecofniomy. Ach! to drzewo! patrz na to drzewo w płomieniach!

Zbyt prawdziwe było postrzeżenie Elżbiety. Ogień zwyciężył żywioł sobie przeciwny, w tryumfie rozszerzał się po mchu na w pół już wysuszonym, sucha sosna w drugim końcu płaszczyzny nagle się zapaliła jakby czarodziejską mocą, dotknięta oderwanym płomieniem przez wiatry nagnanym. Jedno drzewo udzielało drugiemu zgubnego pożaru, chociaż zwolniej niż w lesie, bo dalej od siebie rosły; już się nawet zajął po gałęziach wywróconego dębu, na którego pniu Mohegan siedział. Stary dowódzca musiał już cierpieć gorąco, ale

odwaga jego była wyższa nad cierpienie; nie zmienił ani położenia, ani twarzy nawet, śpiewał jeszcze w tej chwili przerażającej. Elżbieta patrzyła nań ciągle, lecz znieść ostatnich chwil nie mogła i na dolinę oczy zwróciła. Wiatr natenczas w inną stronę odwrócił gęste massy dymu, całe miasteczko i okolice najwyraźniej się ukazywały.

— Mój ojciec! mój ojciec! — krzyknęła Elżbieta. — O Boże! mógłbyś oszczędzić mi tego jeszcze cierpienia! lecz poddaję się twoim wyrokom.

Odległość nie była zbyt wielka, wyraźnie więc można było widzieć sędziego Tampla między domem swoim a jeziorem, pogładającego na palącą się górę i żałującego tylko zniszczenia lasu, nie myśląc wcale o nieszczęściu córki jedynej. Widok ten mocniej Elżbietę dręczył, niż zbliżający się coraz bardziej pożar; odwróciła się zatem do góry i piękne swe oczy ku niebu wzniosła.

— Czemuż nie mam połowy twojej odwagi, — rzekł Edward, głosem tłumionym z rozpaczy.

— Śmierci uniknąć już nie podobna Edwardzie; starajmy się zatem znieść ją jak przystoi chrześcijanom. Jednak ty Edwardzie śmierci ujsć możesz. Twój ubior daje nadzieję że łatwiej przejdiesz przez ogień niżbym ja tego z moim dokazać mogła. Sprobuj raz jeszcze; mnie tutaj zostaw; przedrzyj się! Zobacz ojca mojego; mów wszystko coby go tylko pocieszyć mogło. Powiedz mu, że umieram szczęśliwa, spokojna; że się z radością połączę z matką ukochaną; że godziny tego życia są niczem w porównaniu z wiecznością; dzień przyjdzie widzenia się naszego. Powiedz, — dodała scicha, jakby się wstydziła słabości przywiązującej ją jeszcze do rzeczy ziemskich, — powiedz jak dla mnie był droгим, jak go kochałam. Ach! moje przywiązanie do niego bardzo było podobne do miłości Boga.

— I mnie to mówisz Pani, abym ciebie opuścił! Jażbym miał ciebie opuścić gdy może chwila tylko przedziela cię od grobu! Jakżeś mało dotąd mnie znała! Rospacz mnie zapędziła do lasu, lecz tyś ugłaskała lwa ryczącego w mém sercu. W poniżeniu czas jakiś przeżyłem, ale ty mnie częste słodziłaś chwile obecnością anioła w twojej postaci. Nie pamiętałem na to com był winien imieniu memu, mojej rodzinie, bo ciebie ujrawszy, nikogo już więcej na myśli nie miałem. Zapomniałem niesprawiedliwości na mnie domierzonych, boś ty mnie łagodności uczyła. Mogę z tobą umrzeć Elżbieto, ale ciebie opuścić nie zdołam nigdy!

Elżbieta nic na to nie odpowiedziała. Wszystkie jej myśli dotychczas nieba tylko sięgały. Smutek jaki była uczuła na widok jej ojca, że się z nim wkrótce rozdzielić miała, sama sobie osłodziła mocą religii i wzniesieniem myśli nad ziemię i nad słabość

płci swojej. Lecz słuchając wyrazów Edwarda znowu kobietą została; śmiertelna bladość jej lica, krew ożywiła na powrót i rozlała po twarzy świeżość zachwycającej piękności. Walczyła ona z temi nowemi uczuciami, chcąc nakłonić myśli do ubóstwiania niebieskich wielkości, gdy ludzki głos, głos duszę przenikający, dał się słyszeć dość blisko.

— Miss Bessy! gdzie jesteś, miss Bessy? Pociesz czémprędzej serce starca, jeżeli jeszcze do liczby żyjących należysz!

— Słyszycie! — rzekła Elżbieta; — Natty mnie szuka.

— To Natty! — jednocześnie zawołał Edward; — więc nadzieja jeszcze nie stracona!

Rażące błysnienie zaświeciło im w oczy i mocna eksplozija dała się słyszeć.

— To rożek z prochem! — tenże sam głos krzyknął tylko znacznie bliżej; — biedna dziewczyna zginiona!

W tejże chwili Natty wbiegł na płaszczyznę ze strony wyschłego strumienia, bez czapki, włosy miał opalone, poczerniałą koszulę i czoło potem zlane, tak bowiem biegł prędko i takiego gorąca doświadczył.

R O Z D Z I A Ł VIII.

Wiecznych ciemności zamierzchła dzielnica,
Mnie ukazuje cień mego rodzica.

CAMPBELL, Gertruda.

MISS Grant blisko godziny zostawała na tém samém miejscu, gdzie ją umieściła Elżbieta. Przez cały ten czas w największej była niespokojności, wyobraźnia jej wystawiała wszystkie przypadki na jakie przyjaciołka w lesie mogła być narażona, wyjąwszy ten jeden który jej rzeczywiście zagrażał. Niebo stopniami pokrywało się dymem rozciągającym się ponad doliną, a Ludwika jeszcze marzyła o drzewach walących się i drapieżnych zwierzętach, nie myśląc wcale o prawdziwej przy-

cznie niebezpieczeństwa. Stała ona za pierwszą zaraz zasłoną sosen i kasztanów, z przeciwnej strony lasu zagrożonego pożarem, i blisko bardzo od drogi do Tampltonu. Ztamtąd widziała dokładnie dolinę, jezioro, miasteczko, drogę do niego prowadzącą i ten widok tylko wzmacniał ją trochę w przestachu. Nakoniec postrzegła P. Tampla i zgromadzonych mieszkańców, jak szli razem ku jezioru i w poruszeniu rozmawiali poglądając ciągle na górę, pod którą ona stała. Dziwiło to ją niepomału i nowych dodawało niespokojności; nie wiedziała co począć, ani odejść nie śmiała bez swej przyjaciółki, ani dłużej zostawać w samotności nie chciała w tak rażącym przestachu. W tymże momencie usłyszała po krzakah w bliskości szelest jakby człowieka z ostrożnością przedzierającego się i już chciała uciekać, gdy Natty przybliżył się do niej:

— Cieszę się — rzekł, — ze spotkania

Panny Ludwiki w tém miejscu, bo z drugiej strony góra już w ogniu i nim się krzaki i suche drzewa wypalają, iść tam byłoby bardzo niebezpieczno. Zdybałem tam głupca jednego szukającego teraz srebra w głębi ziemi, kamrat to tego gadu, co mnie wprowadził w kłopoty; ja mu o niebezpieczeństwie mówię, a on się spiera i nie chce mnie słuchać, i jeśli się dotąd nie spalił i w jamie swej nie zagrzebał, to chyba salamandry krew w nim płynęła. Ale i pani coś bledniesz, panno Ludwiko? Jak gdybyś panterę postrzegła; co ja, tobym ją chciał gdzie napotkać, prędzejbym zebrał pieniądze niż z bobrów. Ale gdzie jest poczciwa córka niegodnego ojca? gdzie jest miss Bessy? czy zapomniała obietnicy danej starcowi?

— Na górze! — rzekła Ludwika trzęsąc się cała; — ona cię z prochem szuka po górze!

— Na górze Widzenia! — krzyknął Natty

spójrzawszy na wierzchołek — nieba niech ją zasłonią! Już płomienie dosięgły! Drogie dziecię, jeżeli kochasz tę dziewczynę, jeżeli chcesz jeszcze mieć przyjaciółkę w potrzebie, biegaj do miasteczka i wołaj o pomoc. Oni oswojeni są z ogniem w trzebieniu, może potrafią dać radę. Ale biegaj, biegaj, ani się wstrzymuj do odpoczynku.

To mówiąc, w głąb darł się przez krzaki rzucił z siebie skórę daniela, obwinął nią rękę i drapał się na górę z zadziwiającą prędkością w takim starcu i z widoczną wprawą do podobnych trudów.

— Znalazłem więc ciebie! — zawołał przybiegłszy do niej. — Bogu niech będzie chwała! Lecz pójdź ze mną; nie czas teraz gadać.

— Ale moja suknia? — rzekła Elżbieta; — jednej iskierki dosyć aby ją zapalić.

— Nie lękaj się niczego, — odpowiedział, — ja temu zaradzę. I wkładając

na nią swój ubior ze skóry daniela, opasał ją jeszcze rzemieniem do koła i takim sposobem okrył zupełnie lekką z białego muślinu suknią.

— A teraz żywo idź za mną, — dodał: — stanowi to bowiem los życia lub śmierci nas wszystkich.

— A Mohegan! — rzekł Edward, — czy my starego przyjaciela tutaj na zgubę zostawim?

Natty, patrząc w tę stronę gdzie Edward ręką wskazywał, postrzegł starego wodza, zawsze na tém samym miejscu siedzącego, chociaż mech pod nogami jego się palił. Podbiegł do niego i w jego języku krzyczał.

— Powstań, Szyngaszguku, powstań! Chceszże się tu upiec jak Mingo przywiązany do słupa? Bracia Morawscy lepszą ci dać byli powinni naukę. Boże zmiłuj się! rożek prochu musiał koło niego zerwać; skórę mu na plecach popruło!

— I na co Mohegan miałby powsta-
wać? — odpowiedział ponuro Indyanin. —
Oko jego orlim wzrokiem patrzyło, a
teraz mało co widzi. Poziera on na do-
linę, na jezioro i góry i same tylko białe
skóry postrzega, ani jednego Delawara
nie widzi. Ojcowie jego do krainy Duchów
go powołują. Żona jego, dzieci jego wo-
łają: *Przybywaj!* Całe jego pokolenie nań
czeka. Wielki Duch nawet znak daje. Nie,
czas już przyszedł; Szyngaszguk umrze.

— Więc przyjaciela już zapominasz! za-
wołał Edward.

— To strata czasu, przekonywać Indya-
nina chcącego umierać, — rzekł Natty; i
biorąc szmaty podartej odzieży, nadzwyczaj
zręcznie przywiązał niemi starego dowodzcę
na swoje ramiona, który żadnego oporu
nie robił. Idąc natenczas z zadziwiającą
w jego wieku zręcznością i pomimo cięż-
zar, jaki dźwigać musiał, udał się w tę
stronę którą był przyszedł. Kilka kroków

ledwo postąpili, gdy na to miejsce z którego odeszli padła ogromna sosna przepalona, i żarem, popiołem i dymem ziemię pokryła.

— Stąpajcie ciągle po najmiększej ziemi, — mówił Bumpo do swych towarzyszy — idźcie w kierunku dymu białego. Ty zaś Oliwierze, strzeż ją dobrze i pilnuj, ażeby w którym miejscu skóra daniela nie rozeszła się. Piękny skarb trzymasz i powtarzam, że trudnoby było co podobnego znaleźć.

Edward i Elżbieta krok w krok postępowali za starym strzelcem stosując się do jego przestrogi. Łożysko wysuszonego strumienia było drogą wybraną przez Nattego, najstaranniej trzymał się on wszystkich jego zakrętów. Tam przynajmniej nie mieli na przeszkodzie gorejących chróstów, które się po całej przestrzeni lasu paliły; noga jednak nieraz się zawadzała o wywrócone i całe w ogniu drzewo. Człowiek tylko

doskonale ten las znający, mógł przeprowadzać podobnie, wzrok albowiem mało co był potrzebny przechodząc przez gęsty dym oddech nawet tłumiący. Zimna krew i zręczność Nattego przełamały wszystkie przeszkody; po kwadransie trudnego przejścia przybyli na drugą skałę wystającą, na której ani drzewo, ani trawa nie rosła.

Łatwiej jest sobie wystawić niż opisać uczucia Edwarda i Elżbiety, gdy na to miejsce już przyszli; ale najweselszym zdawał się Natty. Obrócił się do nich, trzymając jeszcze Mohegana na plecach, i śmiał się swoim sposobem. — Francuz cię nie oszukał, miss Bessy, — rzekł Natty, — znać proch dobry po wystrzale. Irokezanie nie-najlepszy mieli gatunek, kiedym wojował w Kanadzie pod sir Williamem. Ale, ale, P. Oliwierze, czy opowiadałem ci utarczkę jaką miałem z.....

— Poczciwy Natty, powiedz nam raczej czy jesteśmy bezpieczni tutaj, — przerwała

Elżbieta, przerażona pożarem o trzydzieści kroków za nią zajmującym się, widząc do tego, że na wszystkie się strony rozciągał.

— Czyście bezpieczni! — odpowiedział stary strzelec — tak jest, tak. Gdybyśmy dłużej jeszcze o dziesięć minut pozostali w miejscu, z któregośmy odeszli, za nicbym nie ręczył; lecz ztąd ujrzyście pożarem płonące okoliczne lasy a ogień was nie dosięgnie, chybaży z taką siłą mógł palić skały, z jaką pożera drzewa.

Tak mówiąc oswobodził się od swego ciężaru i posadził starego Indyanina na ziemi, oparłszy grzbietem o złomek skały. Elżbieta także usiadła; zdawała się jeszcze być silnie poruszoną i głowę miała opartą na swych rękach. Edward pobiegł na brzeg skały i zawołał: — Benjamine! gdzie jesteś, Benjamine?

— Hohe! ho! — odpowiedział głos chrapliwy, zdający się wychodzić z wnętrzości ziemi, — tutaj jestem na spodzie

okrętu, gdzie tak gorąco jak w kotle djabła. Jeżeli Natty nie wyprawi się wkrótce na bobry, nie omieszkam natychmiast odbić od brzegu i wrócić do miasteczka, chociażbym miał wysiedzieć kwarantannę w więzieniu i wydać tam ostatecznie moje hiszpańskie pieniądze.

— Przynieś szklanę wody i wina, — zakrzyczał Edward — i miej się na baczności.

— Już idę kapitanie, — odpowiedział intendent. — Wody i wina! a to tylko cieńkusz. Jeślibym jeszcze miał butelkę rumu, którąm przez ostrożność włożył w kieszeń wychodząc z więzienia! Lecz wypróżniłem ją z Billy Kirby, gdy mię przystawił do brzegu drogi, na której znalazłście mię tego ranka: albowiem rozstałiśmy się z nim w dobrej przyjaźni; jednakże winienem powiedzieć, iż się nic nie zna na robieniu wiosłem, chociaż żegluje bardzo dobrze z zaprzęgiem wołów

przez skały czy też karczce, horyzontalnie wystające po wszystkich naszych drogach.

Tak mówiąc wyszedł z pieczary tej samej, do której nieco wprzód Rychard prowadził Marmaduka i wszedłszy na skałę dach jej stanowiącą, przyniósł Edwardowi żądany napój; Edward natychmiast podał go Elźbiecie, która się napiwszy, dała mu znak, iż chce być zostawioną własnym myślom i wróciła do pierwszej swej postawy.

Posłuszny jej chęciom odwracając się spotkał wzrok Nattego będącego przy Moheganie. — Godzina jego nadeszła, P. Oliwierze, — rzekł stary strzelec; — czytam to w jego oczach. Kiedy Indyanin wzrok wlepia, znakiem jest, iż się chce udać tam, co nazywa krajem duchów; a to są stworzenia tak się powodujące swą chęcią, iż gdy co sobie wezmą do głowy, koniecznie muszą dopełnić.

Szelest kroków nadchodzącej osoby, nie dozwolił Edwardowi na to odpowiedzieć. Z powszechném zadziwieniem postrzeżono P. Granta z trudnością wdzierającego się na górę, z tej strony, której nie dosięgały płomienie, jako obwarowanej nagimi skały. Edward pobiegł na spotkanie jego, by mu ku pomocy podać rękę i po kilku minutach czci godny kapłan już się znajdował obok nich.

Pierwszém jego poruszeniem było dziękczynienie niebu, iż wzięło Elżbietę pod swą obronę i zasiągnięcie wiadomości, jaki cud ją ocalił. Zapytano go potém jakim trafem znalazł się w tém miejscu.

— Widziano — odpowiedział, — córkę moję na drodze ku górze Widzenia. Gdym ujrzał wierzchołek jej cały w ogniu, niespokojność zagnęła mię biedz w tę stronę i spotkałem córkę zagrożoną w najsroźszej obawie o bezpieczeństwo Panny Tampl; począłem

więc wdzierać się na górę, by ją znaleźć i uratować; lecz przekonany jestem, iż gdyby opatrność nie sprawiła, żem napotkał psy Nattego, niechybnie zginąłbym wśród płomieni.

— Tak jest, tak, — rzekł Natty — zawsze iść za psami należy, i jeżeli tylko jest otwór kędyby one przejść mogły, potrafią go znaleźć. Węch im na to dany, aby posługiwał jak rozum ludziom.

— Oneto właśnie mnie tu przywiodły — dalej mówił kapłan — i cieszę się, iż widzę was wszystkich w bezpieczeństwie i dobrém zdrowiu.

— W bezpieczeństwie, — rzekł Natty, — zgoda, lecz co się tycze zdrowia, tego nie można powiedzieć o Dżonie, chybaście chcieli utrzymywać, iż człowiek po raz ostatni oglądający słońce, w dobrém jest zdrowiu.

P. Grant zbliżył się do umierającego i patrzył nań z politowaniem i czułością. —

To prawda, — zawołał, — zbyt wiele widziałem ofiar padających pod razami śmierci, bym nie miał poznać, iż ręka jej wymierzyła cios na tego starego wojownika. Niech błogosławiona będzie opatrzność, iż raczyła dozwolić, że on chociaż pochodzący z plemina pogan, otworzył oczy przed światłem prawdy. Jest to podług słów Pisma, żarzewie z ognia wyrwane.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, — rzekł Natty, — spójrzyjcie raczej na grzbiet jego całkiem od prochu uszkodzony. Lecz nie ta rana go o śmierć przyprawiła; jest to ostateczne osłabienie natury. Ciało nie z żelaza i człowiek nie na wieki trwać może, zwłaszcza gdy widział jak plemie jego daleko zagnane od cudzoziemców, i że jest ostatnim ze swego pokolenia. Pójdź tu, Hektor, pójdź tu!

— Dżonie — rzekł kapłan głosem łagodnym i politowania pełnym, — czy mię rozumiesz? Chcesz żebym nad tobą od-

mówił modlitwy kościelne w tej ostatniej chwili próby?

Stary naczelnik utkwiał na chwilę czarne swe oczy w kapłana, żadnym nie dając zrozumieć znakiem, iż go poznał, a potem obrócił je na odległe góry, ku którym bez ustanku kierowały się jego spójrzenia. I począł naówczas śpiewać we własnym języku, tym tonem gardłowym, o którym już niejednokrotnie wspominaliśmy.

— Przybywam, przybywam, oddalam się do krainy Duchów. Zaden z Delawarów nie lęka się swego końca; żaden Mohegan nie obawia się śmierci; staje on na wezwanie wielkiego Ducha. Czcilem mojego ojca, miłowałem matkę, byłem wierny memu pokoleniu; zabiłem siła Makwów; wielki Duch mię wzywa; przybywam, przybywam.

— Co to on mówi, Natty? — zapytał kapłan z czułym interesem; — śpiewa-li on pochwały Zbawiciela?

— Nie; on opiewa własne, — odpowiedział Natty w zadumaniu; — i ma do tego prawo, wiem bowiem, iż nigdy nic nie powiedział, coby nie było prawdą.

— Niech niebo oddali od serca jego wszelką myśl zarozumiałą, — rzekł Grant — pokora i żal winny bydź piętnem chrześcijanina. Pomnieć o swém wywielbieniu, w chwili kiedy ciało i dusza powinny się połączyć dla wystawiania Stwórcy! Dżonie, miałeś szczęście słyszeć Ewangeliją; czujeszże, iż dla usprawiedliwienia siebie, winieneś liczyć na zasługi krwi Odkupiciela, nie zaś na próżność własnych uczynków?

Dżon dalej śpiewał, nie dając baczenia na to zapytanie.

— Któż może powiedzieć, iż Makwy kiedykolwiek widzieli podającego tył Mohegana? Jakiż Mingo wykrzyknął pieśń zwycięską po walce z nim? Mogą-li go obwinić, iż skalał siebie fałszem? Nie;

wszystkie słowa jego były zawsze słowami prawdy. W młodości swej był wojownikiem, i ręce jego krwią się broczyły; później mawiał w radzie, a mowy jego na wiatr się nie rozpraszaly.

— A teraz co on mówi? — zapytał poczciwy kapłan. — Okazuje-li on zabienną bojaźń swej zaguby?

— Tak on wie dobrze jak i wy, iż koniec jego blizki, — odpowiedział Natty — i nie sądzi, by to wielka była strata. Już jest stary, stężały jego nerwy, takeście zaś wypłoszyli zwierzynę i tak ją zrobiliście dziką, iż lepsi odeń strzelcy z trudnością zaledwo jej doścignąć mogą. On myśli, iż wkrótce stanie w krainie, gdzie polowanie zawsze szczęśliwe będzie: gdzie nie ma ludzi białych i gdzie znajdzie całe swe pokolenie. Nie wielkato będzie strata dla człowieka, którego ręka zaledwo była w stanie wyplatać koszyki z łoży. Jeśli jest strata, tedy mnie się da uczyć.

— Dżonie — rzekł P. Grant, — oto chwila w której myśl, że możesz się jeszcze uciec do pośrednictwa Zbawiciela, powinna wylać balsam na rany twej duszy; złóż u nóg jego brzemie swych grzechów: dał ci sam bowiem zapewnienie, iż nie będziesz wzywał go nadaremno.

— Wszystko to być może prawda, — rzekł Natty, — macie za sobą Pismo i Ewangelię; lecz są to słowa stracone. Nie widział on Braci Morawskich od ostatniej wojny i trudno nie dozwolić Indyaninowi powrotu do swych wyobrażeń. Zostawmy go umierającego w pokoju. On dopiero szczęśliwy, czytam to w jego oczach, nie był nim odkąd Delawary oddalili się ku zachodowi. Ach! od tego czasu przebyliśmy z nim nie jeden dzień niefortunny.

— Sokole-Oko, — rzekł Mohegan, w którym w tę chwilę iskra życia zdawała się nowym zabłysnąć ogniem, — słuchaj słów twego brata.

— Tak jest Dżonie, — odpowiedział stary strzelec, tonem serdecznym, — żyliśmy jak prawdziwi bracia. Co masz mnie powiedzieć Szyngaszguku?

— Sokole-Oko, ojcowie moi wzywają mnie do lasu pełnego zwierzyny. Widzę drogę, oczy me bowiem odmłodziły; postrzegam dzielnych Indyan, bynajmniej zaś nie skóry białe. Bywaj zdrów, Sokole-Oko; ty pójdiesz ze Spożywaczem Ognia i Młodym Orłem do nieba białych; ja się zaś połączę z moimi ojcami. Niech łuk, strzały, tomahawk i fajka Szyngaszguka będą położone na jego grobie, noc bowiem będzie gdy się on oddali, jak wojownik Indyjski idący na wojnę, i nie będzie miał czasu szukać tego wszystkiego.

— Jakże więc, Natty, — zapytał szanowny kapłan, — czyliż przypomina on obietnice pośrednictwa Zbawiciela? Opiera-li on na tej opoce nadzieje zbawienia?

Wiara starego strzelca nie była zbyt ja-

sną; mimo to jednak ziarna pierwiastkowego jego religijnego wychowania, nie padły na pustynię w której żył tak długo. Wierzył on w Boga i w przyszłe życie, a czułość jego podniesiona pożegnaniem starego towarzysza, odebrała mu na czas niejakiś władzę mówienia. Milczał więc przez chwilę.

— Nie, — rzekł nakoniec, — nie. On tylko myśli o Wielkim Duchu dzikich i o tém wszystkiém co sam zrobił dobrego za swego życia. Wierzy jak inni Indianie, iż stanie się młodym, że polować będzie i będzie szczęśliwym aż do końca wieków. Ja sam nie wiem, co wam powiedzieć kapłanie: trudno mi wyobrazić, iż nie zobaczę więcej tych psów i strzelby w drugim świecie, a myśl, iż trzeba je opuścić nazawsze, sprawia, iż mocniej przywiązuję się do życia, niżliby to czynić należało w siedmdziesiątym roku.

Przez cały ten czas od przybycia ich na

skąłę, gęste chmury nagromadziły się w powietrzu, a głęboka cisza panująca w tej chwili, zapowiadała blizkie w atmosferze przesilenie się. Płomienie jeszcze opustoszejące górę, już niemiotane pędem wiatru w rozmaite strony, wznosiły się ku niebu w linii prostej. Szerzący zniszczenie żywioł słabiał w swej pustoszącej sile, jak gdyby przewidywał, iż potężniejsza ręka wkrótce zatrzyma jego postępy. Dym pokrywający dolinę począł się podnosić i rozpraszać, a ogniste błyskawice w rozmaitym kierunku próły obłoki wieńczące góry od strony zachodu. Jak skoro Natty przestał mówić, płomienista jasność jednej z tych błyskawic, niszczyła się od jednego do drugiego końca widnokręgu, a łoskot wypadłego za nią piorunu, zdawał się wstrząsnąć skały aż do ich posad. Mohegan uczynił poruszenie by powstać, jakby chcąc być posłusznym danemu do oddalenia się hasłu i wyciągnął ramie ku wscho-

dowi. Promień radości zabłysnął na chwilę na jego rysach; lecz wkrótce muskuły jego ściągnęły się, usta konwulsyjnym drgnęły poruszeniem, ramiona bez ruchu opadły, a oczy zgasłe lecz otwarte, zdawały się jeszcze byź utkwione w góry wschodnie, jak gdyby chciały zmierzać śladem ducha, co ciało ożywiał, w locie jego ku nowym sferom.

P. Grant, który na całą tę scenę patrzył z uczuciem religijnym, złożył ręce jak tylko Mohegan wydał ostatnie tchnienie i zawołał z pobożnym zapałem:

— O Panie! kto zbada twoje sądy? kto zgruntować zdoła głębokość twych dróg? Wiem, że żyje mój Odkupiciel, że się ukaże na ziemi w dzień sądu ostatecznego, i że chociaż robactwo zniszczy ciało moje, wszelako je odzyskam dla oglądania Boga.

Natty zbliżył się do zwłok swego przyjaciela, stanąwszy naprzeciw patrzył nań

przez czas niejakiś w milczeniu, z twarzą posępną i zadumaną i rzekł nakoniec tonem głębokiego wzruszenia:

— Skóra czerwona, skóra biała, wszystko się na tém kończy. Lecz sądzić go będzie sędzia sprawiedliwy, nie podług praw postanowionych stosownie do czasu i okoliczności. Zaiste! jeszcze śmierć, i nic mi na świecie nie pozostanie, oprócz psów moich. Ach! potrzeba czekać dobrej woli Boga, lecz się już życie przykrzyć poczyna. Połowy drzew którem znał, już nie ma, i nie ma więcej na świecie nad jednego człowieka, którego znał w młodości.

Wielkie krople deszczu padać poczęły; błyskawice i łoskot piorunów następowały po sobie bez przerwy: wszystko zwiastowało burzę gwałtowną. Zaniesiono ciało Indyanina do pieczary, dwa psy szły za niém wydając żałobne wycia, jak gdybyraz ostatni żegnały się ze starym wodzem.

Założono wejście do pieczary pniakami drzew, jak się zdawało z umysłu do tego użytku przeznaczonemi. Edward usprawiedliwiał się przed Elżbietą, z nieśmiałością i pomięszaniem, iż jej nie zaprowadził pod tę samą osłonę, namieniając w kilku słowach, które ona zaledwo rozumiała, o nieprzyjemności znajdowania się w ciemności przy trupie. Ochroną dla niej od deszczu lejącego się potokami, był szczyt skały, stanowiący pewien rodzaj naturalnego dachu; lecz nim deszcz ustał, dały się słyszeć w lesie wołania wysłanych na szukanie Elżbiety i rozlegające się echo powtarzanego jej imienia.

Korzystając z najpierwszej przerwy deszczu, Edward doprowadził Elżbietę aż do drogi. Tu ją opuścił. Lecz nim się oddalił, rzekł tonem, który ona wiedziała jak wytłumaczyć:

— Minał czas tajemnicy, Miss Tampl. Jutro o tej samej godzinie zerwę zasłonę,

która może na szkodę moję tak mię długo okrywała. Lecz miałem wyobrażenia romansowe, pewną słabość której szaf kazał uledz. I jakże się od tego zawarować będąc młodym i miotany namiętnościami? Słyszę głos waszego ojca; on cię szuka, potrzeba zaś, bym cię zostawił, nie mogę bowiem w tej chwili narażać się na uwięzienie. Zegnam was, Pani! Dzięki niebu, jesteś w bezpieczeństwie i z serca mojego spadł ogromny ciężar.

Nie czekając na jej odpowiedź udał się w głąb lasu. Elżbieta chociaż słyszała donośne wołania ojca, powtarzającego jej imię z oznaką rozpacz, nie pierwaj na nie odpowiedziała, aż nim nie straciła z oczu Edwarda, znikającego wśród drzew jeszcze dymiących. W kilka chwil potem Marmaduk z niewymowną rokoszą ujrział ulubioną córkę w swych objęciach.

Miano na pogotowiu powoz dla odwiezienia miss Tampl, gdyby szczęście pozwo-

liło ją znaleźć; ojciec i córka natychmiast doń wsiedli i rozmawiali w czasie drogi o niebezpieczeństwach jakich uniknęła. Wieść o jej znalezieniu rozbiegła się z ust do ust na całej górze, pomiędzy mieszkańcami jej szukającymi. Powrócili oni przemokli do kości, zaczernieni węglem, pokryci błotem i popiołem, lecz weseli, iż córka założyciela ich osady, wydartą była okropnej i przedwczesnej śmierci.

ROZDZIAŁ IX.

Weż Seliktarze wodza twego miecz dobyty,
Tamburdži (*) twoje hasło przyrzeka bój krwawy.
Góry, co nas widzicie, obnażcie swe szczyty,
Zwyciężym lub nie wrócim nigdy z pola sławy.
Lord BYRON, Pieśń Albańska.

Deszcz padający prawie bez przerwy przez resztę dnia, zupełnie wstrzymał szerzenie się płomieni; można jednak było widzieć szczytki ognia następnej nocy migające w rozmaitych częściach góry, w miejscach gdzie niszczący żywioł znajdował więcej podniety. Nazajutrz na przestrzeni wielu

(*) Bęben.

mil, drzewa okryte były szczerniałą korą i jeszcze się dymiły. Nie zostało w lesie ani drzew leżących ani chróstów; sosny jednak i dęby wzbijały się jeszcze w wyższe przedziały powietrza wspinałemi wierzchołki, a pomiędzy innemi drzewy niektóre zachowały nawet pozor życia i wegetacji. Wieść stugębna upowszechniała sto rozmaitych wiadomości o cudownym sposobie, jakim Elżbieta została ocalona; powszechnie mniemano, iż stary Mohegan zginął w pożarze. Tłumaczenie to wydawało się podobniejszém jeszcze do prawdy, gdy się dowiedziano, iż Jotham Riddel znaleziony był w jamie przez siebie wykopanej, w stanie zaduszenia i tak okropnie opalony, iż żadnej nie zostawiał nadziei życia.

W czasie nocy pierwszej po pożarze, fałszerze monety osądzeni i skazani, korzystając z przykładu Nattego i Benijamina, także potrafiliby się wymknąć, a wypadek ten powiększył powszechne zamięsza-

nie. Dulittl i Jotham mówili o pieczarze dostrzeżonej na górze Widzenia; przypuszczano, że ona służyć mogła za miejsce przytułku dla tych złoczyńców, i o niczém więcej nie mówiono, jak tylko o schwytaniu ludzi, którzy się stać mogli niebezpiecznymi dla publicznej spokojności.

Kiedy tak umysły wszystkich znajdowały się w pewnym rodzaju wzburzenia, inna wieść, której nikt nie znał źródła, która się jednak z taką rozszerzała bystrością, jak poprzedzającego dnia pożar, obwiniała Edwarda i Nattego, iż dobrowolnie wzniecili ogień. Prawdziwą zaś jego przyczyną, jak się później dowiedziano, była nierostropność jednego z tych, co ścigali w lesie Nattego i Benijamina, po ucieczce ich z więzienia. Człowiek ten rzucił w chrósty głównią sosnową niezgaszoną, która zrazu powolny podsycając ogień przez godzin kilka, stała się wkońcu

przyczyną straszliwego pożaru, któregośmy opisali okropne skutki. Jakkolwiek bądź, jednak dało się słyszeć w miasteczku powszechne oburzenie przeciw mniemanym winowajcom; Rychard nie był na to głuchym i postanowił jąć się siły dla schwytnia zbiegów.

O południu udał się szeryf do oberży pod Śmiałym Dragonem i zalecił Hollisteromowi kapitanowi lekkiej piechoty Tampltonu powołać natychmiast do broni oddział ochotników, którym dowodził. Bęben dawał hasło do zbierania się po wszystkich ulicach miasteczka i dwudziestu pięciu do trzydziestu młodzieńców powoli zgromadziło się około swego wodza. Skoro się wojsko ściągnęło, P. Dzens uwiadomił o celu podejmowanej wyprawy, i z tego powodu powiedział mowę, porównać się mogącą z tą, jaką Scypion miał do swych żołnierzy przed bitwą z Annibalem. Na nieszczęście nie znalazł się w Tamplto-

nie żaden Titus Liwiusz, któryby tę mowę podał do potomności, a ztąd nie możemy jej przedstawić podziwieniu naszych czytelników.

Nie radzono się Marmaduka względem tej wyprawy, nie słyszał nawet o niej mówiących, bowiem w tej chwili zamknął się w swym gabinecie z Panem Van der School. Hiram Dulittl, na którego twarzy malowały się wszystkie kolory tęczy, stanowił jedyną zwierzchność sędziowską, co się połączwszy z Rychardem, miała w tém udział.

Druga była godzina, kiedy wojsko podzielone na sześć pocztów od czterech do pięciu ludzi, mając na czele Rycharda i Dulittla, ruszyło w drogę. Kapitan Hollister z głową podniesioną pod kątem czterdziestu pięciu stopni, mając na niej mały kapelusz składany i trzymając w ręku ogromnej wielkości dragońską szablę, od której stalowa pochwa ciągnęła się za nim z hałasem prawdziwie wojennym, postę-

pował na czele swego wojska. Nie bez trudności zdołał on wymodz na swych żołnierzach, iżby każdy z nich zwracał głowę w tę samą stronę; ztémwszystkiém w dobrym porządku wąski most przebyto i zaczęto wstępować na górę, a żadna nie zaszła zmiana w rozpołożeniu sił, wyjąwszy tylko, iż Rychard i Dullit, snadź zmordowani śpieszném na przodzie ıściem, umniejszyli nieznacznie kroku, i nakoniec znaleźli się w tylnej straży.

Nim zdążono na miejsce położone naprzeciw pieczary, co było celem wyprawy, kapitan Hollister, jako dowódzca baczny, wysłał przodem kilku z przedniej straży na podjazdy i obejrzenie, którzy wróciwszy donieśli, iż zbiegi dalecy od tego, by się mieli poddać, lub w tył się cofnąć, jak oczekiwano, zdawali się otrzymać wiadomość o projekcie ataku, lub go przewidzieli i poczynili straszne przygotowania do obrony. Wiadomość ta zrządziła isto-

tną zmianę w zamysłach naczelników i w fizyognomii żołnierzy, którzy patrzyli jedni na drugich z wyrazem zamyślenia się i pomieszania. Rychard i Hiram oddalili się do pewnej odległości, by złożyć niejako radę wojenną. W tej krytycznej chwili spotkali Billego Kirby, który ze swym toporem na ramieniu, szedł na przodzie zaprzęgu wołów, jak Hollister na czele swego wojska. Wydawał się być zdziwionym ujrawszy tak znaczną siłę wojenną, rozwijającą się na górze; lecz szeryf chcąc korzystać z posiłku, jaki mu przypadek nadarzał, natychmiast go do wojska przyłączył. Billy przez wielkie uszanowanie dla P. Dżensa, nie śmiał najmniejszego czynić oporu, i wkrótce uchwalono, iż on winien był objawić oblężonym warunki poddania się, przed użyciem siły dla zmuszenia do tego.

Wojska rozdzieliły się wówczas na dwa oddziały: jeden pod dowództwem kapitana

postępował ku pieczarze od strony lewej, kiedy drugi pod rozkazami jego porucznika, miał to dopełnić ze strony prawej. Rychard i doktor Todd, którego jak rozumiano usługi mogły być użyteczne w tej okoliczności, obeszli lasem i wkrótce się ukazali na płaszczyźnie skały nad głowami swych nieprzyjaciół, lecz od nich nie widzeni. Hiram za przyzwoitszą osądził rzecz, pozostać z oddziałem wojska; postępował za Kirbym do pewnej od fortyfikacji odległości i napotkawszy drzewo niepoziernego obwodu, uczynił zeń wał dla siebie. Ochotnicy lekkiej piechoty Tampltońskiej nie mniej się okazali sprawnymi, każdy z nich znalazł sposób postawić się bądźto za wielkiem drzewem, bądź za wystającym odłomkiem skały, by się zawarować od nieprzyjaciela, tak, iż oblężeni niktogo nie mogli dostrzedz, oprócz kapitana Hollistera z jednej i Billego Kirby z drugiej strony.

Wojsko szeryfa było podówczas na przeciw pieczary i mogło widzieć poczynione przygotowania do obrony. Mały okop znajdujący się przed jej otworem, otoczony był ze wszech stron wałem zrobionym z pniów i gałęzi; za tém oszańcowaniem można było widzieć Beniamina z jednej i Nattego z drugiej strony, a to obwarowanie tém mniej lekce ważoném bydz mogło, iż nie inaczej jak tylko po urwistej spadzistości przystępować doń należało, kiedy nadto deszcz wczorajszy i padający przez całą noc przeszłą, uczynił grunt wielce slizkim.

Ani słowa jeszcze nie powiedziano z którejkolwiekbądź strony; lecz skoro szeryf z wysokości skały dał znak Billemu Kirby, drwāl ruszył natychmiast na przód tak spokojnie i z tak obojętną postawą, jak gdyby tylko mu polecono iść na zwalenie sosny.

Jak tylko przyszedł o sto kroków od okopu, długa i straszliwa fuzja Nattego

ukazała się ponad przedpiersniem i stary strzelec zawołał w tymże samym czasie:

— Oddał się, Kirby, oddał. Nikomu nie chcę szkodzić, lecz jeżeli ktokolwiek z was o krok się jeden zbliży, krew między nami rozlana zostanie. Niech Bóg odpuści temu, kto da do tego powód, lecz ostrzegam o tém, co ujrzeć możecie.

Można było miarkować z miny Nattego, iż mówił do prawdy, lecz że się nieskończenie wzdrygał nastawać na życie bliźniego.

— Powoli, powoli Natty, — odpowiedział drwal nie przestając posuwać się z tąż zimną krwią, — nie czyni nic złego i wysłuchaj co ci mówię. Co do mnie, nie mam żadnego w tej sprawie interessu i nie wiele się troszczę, lecz szeryf i P. Dulittl, którzy są oto tam ukryci poza tym wielkim więzaniem, polecili mi skłonić cię do poddania się prawu. O to tylko i idzie.

— Widzę żmiję, — zawołał Natty; — postrzegam jego odzież, i jeśli tylko wy-

sunie tyle ciała, ile potrzeba dla wsadzenia weń kuli, których trzydzieści idzie na funt, nauczę go mnie znać. Lecz tobie, Kirby, nie chcę nic zrobić złego; oddasz się więc? Wiedzieć bowiem winieś, iż łatwiej w ciebie trafić, niż w gołębia w locie.

Kirby był wówczas tylko o piętnaście kroków od Nattego, i stanąwszy za wielką sosną: — Wielkiej dokażesz sztuki, Natty, — odpowiedział — jeśli potrafisz przeszyć człowieka przez podobne drzewo; ale wiesz, że toporem mogę najwięcej w dziesięć minut zwalić je na tve barki.

— Wiem, — odparł Natty — iż możesz zwalić drzewo gdzie zechcesz; lecz wiem także, iż nie możesz go podciąć nie wystawiwszy ręki lub ramienia, a w takim przypadku uprzedzam cię, iż wypadnie krew zatamować lub kości nastawić. Jeżeli tak koniecznie chcą wejść do tej pieczary, dobrze, niech tylko zaczekają dwie godzi-

ny, a natenczas niech wchodzi komu się podoba; lecz aż do tego czasu nikt w niej nie postawi nogi. Już się w niej znajduje ciało martwe; jest drugie, o którym ledwie że można powiedzieć, iż przy życiu; jeśli się ktokolwiek posunie, wielu będzie zabitych, tak wewnątrz, jak zewnątrz.

— Nic nie może być lepszego, — zawołał drwal, zupełnie się odkrywając; — nic nie ma lepszego! Jakże więc Panowie! żąda on tylko, byście zaczekali dwie godziny, i ma w tém słusność. Człowiek może się zastanowić, iż źle robi, gdy mu dadzą dosyć czasu; lecz gdy go posuniesz do ostateczności, stanie się on zawziętym jak wół zhukany; im więcej go bijesz, tym się bardziej miota.

Wyobrażenia Kirbego o niepodległości, bynajmniej się nie zgadzały z niecierpliwością Rycharda, pałającego żądzą przeniknięcia tajemnic tej pieczary, w której jak był przekonany, zajmowano się topie-

niem metallów, i głos jego zagrzemiał z wysokości skały:

— Kapitanie Hollister, — zawołał — wzywam ciebie do dania mi siły zbrojnej dla wykonania prawa. Natty Bumpo, rozkazuję ci poddać się bez oporu. Ciebie zaś Benjaminie Pengillan ogłaszam więźniem, na skutek tego rozkazu aresztowania powinienes udać się za mną do więzienia powiatowego.

— W każdym innym razie, mości Dżensie — odpowiedział intendent wyjmując fajkę z gęby, albowiem palił sobie spokojnie podczas całej tej sceny; — w każdym innym razie pod jednym żaglem płynąłbym z wami aż na koniec świata, jeśli jest takie miejsce, co bydz nie może, ponieważ świat okrągły. Tedy widzisz mości Hollister, ty co całe swe życie przepędziłeś na ziemi, może i nie wiesz, że świat....

— Poddaj się! — wrzasnął weteran gło-

sem tak straszliwym, iż całe wojsko jego wstecz się cofnęło; — poddaj się Benjaminie Pengillanie, albo nie spodziewaj się żadnego pardonu.

— Do diabła mi twój pardon — odpowiedział Benjamine wstając z pnia, na którym siedział, spojrzawszy wyraziście na falkonet zabrany przez obleżonych podczas nocy, na którym z jego strony zależała obrona warowni. — Mniemasz więc mości Hollisterze, kapitanie Hollister, jeśli chcesz, ponieważ wątpię, abyś znał choć jedno nazwanie liny, oprócz tylko może powroza, który posłuży do powieszenia ciebie; mniemasz więc powiadam tobie, co tak głośno krzyczysz, jak gdybyś był na wielkim maszcie okrętu pierwszego rzędu i jak gdybyś mówił do głuchego, stojącego na pokładzie; mniemaszże więc powiadam ci raz jeszcze, iż macie prawdziwe moje nazwisko na waszym szmacie pargaminu? Nie, nie, dobry żeglarz nie puszcza się na te

morza, nie mając więcej nad jedną banderę, któraby mu usłużyła w potrzebie. Jeśli chcecie aresztować Pengillana, szukajcie tego uczciwego człowieka na ziemi którego zarzuciłem pierwszą kotwicę w świecie. Szlachcie to jest, a nikt tego powiedzieć nie może ani o jednym członku rodziny Benijamina Stubbs.

— Przyszlij mi rozkaz, — zawołał Hiram zpoza swojego drzewa, — a położę w nim *inaczej rzeczony*.

— Połóż tam osła P. Dulittl, a to twoje nazwisko — odparł intendent opatrując falkonet i zapalając nanowo fajkę.

— Daję wam tylko chwilę do pódдання się — zawołał Rychard — Benjaminie, tegoż się winienem był spodziewać po twej wdzięczności?

— P. Dżensie, — rzekł Natty, który się lękał wpływu szeryfa na swego towarzysza; — chociaż rożek przyniesiony przez miss Bessy wyleciał na powietrze, uprzedzam

was jednak, iż w tej pieczarze dosyć jest jeszcze prochu, aby wysadzić na powietrze skałę, na której stoicie. Podłożę ogień, jeśli mię nie zostawicie w pokoju.

— Mniemam, iż z poniżeniem mej godności byłoby dłużej się umawiać z rokoszanami, — rzekł Rychard do doktora — i obaj śpiesznie opuścili skałę, co Hollister wziął za hasło do boju.

— Natrzeć bagnetem, — zawołał weteran, — na przód, marsz! Hasła tego należało oczekiwać, a jednak zmięszalo ono nieco obłączonych. Hollister wdzierał się na górę, jak gdyby szedł do szturmie nie przestając krzyczeć: — Na przód na przód! nikomu nie przepuszczać jeśli się nie poddadzą! — Tym sposobem przyszedł pod palissadę, za którą był Beniamin, i zadał mu z dołu w górę cięcie szablą tak silnie wymierzone, iż zniósłby mu głowę, gdyby na szczęście ostrze nie zatrzymało się o część końcową falkoneta. Okoliczność ta

podwójnie okazała się szczęśliwą, gdyż Benjamina w tej krytycznej chwili przyłożył swą fajkę do zapalu, kiedy tymczasem cięcie szablą weterana zmieniło kierunek falkoneta, który Benjamin wierny swym prawidłom marynarki wycelował bardzo nisko, z czego wypadło, iż pięć lub sześć tuzinów małych kul wyleciało na powietrze, prawie w linii prostopadłej. Fizyka uczy, iż powietrze atmosferyczne nie jest tak ciężkie, by mogło utrzymać ołów; skutkiem więc tego było, iż funt lub dwa tego metalu, w kształcie małych kul, opisawszy elipsę spadło na głowy żołnierzy zdaleka postępujących za swym dowodzą. Deszcz ten i huk mu towarzyszący, sprawiły między nimi poruszenie na wstecz i nie więcej jak w przeciągu minuty, szczęśliwy skutek napadu ze strony lewej zależał już tylko od bohatyrskich działań generała.

Targnienie falkonetu obaliło Benjamina,

tak, iż leżał rozciągniony na ziemi w stanie osłupienia. Kapitan Hollister w przekonaniu, iż za nim postępuje wojsko jego, korzystał z tego, aby się wdrzeć na wał i jak tylko znalazł się wewnątrz bastionu, to jest na terasie naprzeciw pieczary, począł wołać wielkim głosem: — Zwycięstwo! zwycięstwo! zdobyliśmy zewnętrzne warownie!

Wszystko to było zupełnie wojenne; był to przykład jaki waleczny oficer winien był dawać żołnierzom. Lecz ten nieszczęśliwy krzyk właśnie zmienił postać rzeczy. Natty, co miał ciągle oczy zwrócone nieruchomie na drwala i sędziego pokoju, odwrócił się to usłyszawszy, i ujrzał swego towarzysza na ziemi, a Hollistera potrząsającego potężną szablą z miną tryumfu. Pierwszém poruszeniem jego było oprzeć swą fuzją o ramie, i przez chwilę życie weterana wisiało na nici bardzo wątlej. Lecz Natty wstydziłby się dać ognia

do tak pewnego celu, strzelając w nieprzyjaciela; wzięwszy przeto za rurę fuzji tak potężnie ugodził kolbą nieco niżej grzbietu męznego Hollistera, iż ten daleko prędzej musiał przeskoczyć przez palissadę cofając się, niżeli tam wstępując.

Miejsce, gdzie padł kapitan, tak było słizkie i pochyłość tak spadzista, iż nie prędzej zatrzymał się w spadaniu aż u stóp góry, u której małżonka jego przyjęła go w swe objęcia. Mistress Hollister tylko co przybyła z miasteczka ze dwadzieściorciem dzieci, ciekawych widzieć co się działo na górze; trzymała ona jedną ręką kij zastępujący miejsce trzciny, na drugiem zaś ramieniu miała wielki wór próżny. Pierwszém uczuciem jakiego doznała, było oburzenie.

— Co! sierżancie! — zawołała, — tyż to pierzchasz przed nieprzyjaciołmi i jeszcze przed takimi nieprzyjaciołmi? Ja, com tu idąc opowiadała tym dziatkom dzieje oblę-

żenia Yorku i pełen chwały przypadek, przez który ty zostałeś raniony uderzeniem kopyta konia, przybywam tu, by widzieć uciekającego ciebie za pierwszym wystrzałem! Ha! ha! mogę rzucić mój worek. Jeśli będzie zdobycz do zbierania, nie twoja to żona będzie miała do tego prawo. Mówią jednak, że ta pieczara napełniona złotem i srebrem. Niech mi Bóg odpuści, że myślę o takich próżnościach! Lecz mam za sobą powagę Pisma, by utrzymywać, iż po bitwie łupy należą do zwycięzcy.

— Uciekającego! Mnie uciekającego! — zawołał weteran. — Lecz gdzież są moi grenadierowie?

— Straciłże on głowę ze swoimi grenadierami? — rzekła jego połówica — Czyś zapomniał, żeś tylko nędznym kapitanem milicyi? Ach jeśliby prawdziwy kapitan, kapitan co jest na moim znaku, był tutaj, całe odmiennie rzecz się skończyłaby.

Kiedy tak obaj rozprawiali małżonkowie,

inne wypadki zaszły na górze. Podczas tego kiedy Natty stracił swego nieprzyjaciela z okrętu, jak powiedziałby Benijamin, Kirby co był o kilka tylko kroków, ła-twoby mógł wleźć na wał i silném swém ramieniem posłać w ślad za weteranem wszystek garnizon oblężonych. Lecz jak się zdawało, nie bardzo chciał on należeć do kroków nieprzyjacielskich, gdyż widząc pośpieszne cofanie się Hollistera zawołał: — Brawo! kapitanie, brawo! Oto co się nazywa lecieć krokiem natarcia! — I wydał głośne okrzyki śmiechu, któremi wszystkie obudził echa w lesie.

Okrzyk tryumfu weterana, za którym prawie bezpośrednio rozlegał się śmiech Kirbego, wzbudziły ciekawość Hirama Dulittla. Chciał on widzieć, jak się daleko posunęła bitwa, i nie mógł tej zaspokoić chęci, jak tylko nieco wychylając czoło z jednej strony poza drzewo służące mu za tarczę, kiedy z drugiej w takim

stosunku odkrywała się część dolna jego ciała. Natty, który wrócił znowu do swej groźnej postawy i śledził okiem wszystkie poruszenia nieprzyjaciela, postrzegł, iż przyjazna była chwila do zemsty nad cieślą, lecz z umiarkowaniem jej dokonał: ponieważ poprzestał tylko na tém, iż wymierzył z tej strony, z której rana nie mogła bydz niebezpieczną. Wystrzał dał się słyszeć, a wierna kula zerwawszy kawał kory wiązu, przeszyla pantalonu sędziego pokoju a nawet zadrasnęła skórę.

Nigdy batteryja tak prędko nie była odkryta! Dulittl rzucił się przed drzewo, które mu służyło za ochronę, aż do tej zgubnej chwili ciekawości; do tego czynu niepośledniej odwagi, podług wszelakiego podobieństwa do prawdy, spowodowała go pewność, iż Natty nie miał jeszcze dosyć czasu do nabicia nanowo swej fuzyi.

— Goddam! — zawołał wyciągając rękę, a drugą trzymając na części zranio-

nej, — nie łatwo się ta sprawa zagodzi! będę ją popierał od sądów niższych aż do apellacyjnych. I obszedłszy więz naokoło, znowu się ukrył pod dobroczynną jego osłoną.

Tak wojenne zakłęcie w uściech urzędnika i nieulekniona postawa, z jaką się ukazał przed drzewem, zapaliły męstwo ochotników, którzy o wystrzał oddaleni byli. Razem przeto wydali krzyk potężny i społem wszyscy dali ognia, co innego nie miało skutku nad świst po gałęziach; jednakże ożywieni hukiem ruszyli na przód do szturmu, kiedy sędzia Tampl przybył. Dowiedział się on w miasteczku o wystąpieniu ochotników i celu ich wyprawy i śpieszył, aby zapobiedz niepomyślnym wydarzeniom.

— Pokoj! milczenie! — zawołał: — do czego te zbrojne tłumy? do czego te wystrzały? Czyliż wykonanie praw nie może się obejść bez przelewu krwi?

— Jest to *posse comitatus* (1) — zawołał Szeryf znajdujący się w niejakej odległości na wyżynie z doktorem Todd; — i ja to.....

— Powiedz raczej *posse czartów!* — odpowie sędzia.

— Nie przelewajcie krwi! — ozwał się głos z wysokości skały, o którą się lękał Szeryf, aby nie była wysadzona na powietrze; — my się poddajemy; możecie wejść do pieczary.

Zadziwienie, rozkaz sędziego, to nagłe ukazanie się, wszystko się przyłożyło do wydania pożądanego skutku. Natty, który znowu nabił fuzję, usiadł spokojnie na pniu drzewa, oparłszy głowę na rękach, a lekka piechota Tampltońska zawieszając atak, oczekiwała w milczeniu wypadku tej sprawy.

(1) Pewny gatunek pospolitego ruszenia pod rozporządzeniem urzędu.

Tymczasem Edward, którego tylko co słyszano głos, zeszedł ze skały. Towarzyszył mu major Hartmann, idąc za nim z szybkością zadziwiającą w jego wieku. Przybywszy obaj na taras mniej niż we dwie minuty, weszli razem do pieczary, zostawując wszystkich widzów w oczekiwaniu.

ROZDZIAŁ X.

Czy można! był to doktor? Poznałbym go przecie.

SZEKSPIR.

PRZEZ pięć lub sześć minut upłynionych, nim Edward i major Hartmann ukazali się znowu, Rychard Dżens i większa część ochotników weszli na taras; ostatni opowiedziawszy wzajem swe bohatyrskie czyny udzielali sobie domysły względem ogólnego wypadku wyprawy. Lecz widok dwóch rozjemców wychodzących z pieczary, zamknął wszystkim usta.

Na krześle, pokrytém niewyprawną skórą daniela, nieśli starca, którego postawili ostrożnie i z uszanowaniem wpośród

zgromadzenia. Miał on głowę pokrytą włosiem białym jak śnieg, odzież jego starannej czystości podobna była do tej, jaką nosiły pierwsze stany społeczeństwa, lecz zużyta aż do nitki i łatana, na nogach zaś miał obuwie takie, jakiego używają naczelnicy Indyjscy i z największą pracą wyrobione. Postawa jego była poważna, trzymanie się pełne godności, lecz oczy bez wyrazu, zwracające się kolejną na wszystkich otaczających, widocznie przekonywały, iż doszedł do tego kresu, w którym starość wraca umysłowi słabość dzieciennego wieku.

Natty stojąc za krzesłem, oparty na swej fuzyi, okazywał wśród tych, co się zgromadzili dla przytrzymania go, spokojność, dowodzącą, iż był zajęty interesami, które miał za ważniejsze od własnych. Major Hartmann stojąc po prawej stronie starca, ocierał od czasu do czasu łzy toczące się mu z oczu, a Edward po le-

wej patrzył nań z wyrazem czułości i politowania.

Wszystkich oczy zwrócone były na tę grupę, lecz każdy zostawał w milczeniu. Nakoniec starzec obejrzawszy naprzemian wszystkich otaczających, usiłował podnieść się nieco z krzesła, przez pamięć nałogowej grzeczności, powitał naokoło i przemówił głosem zgasłym i drżącym:

— Chciejcie Mości Panowie usiądź; rada natychmiast się rozpocznie. Wszyscy, którzy kochają monarchę dobroczynnego i cnotliwego, powinni przykładać się do utrzymania władzy praw w tych osadach. Usiądźcie, proszę was, Mości panowie; wojska się zatrzymają tej nocy.

— Kto wytłumaczy tę scenę? — rzekł Marmaduk; — jest to obłąkanie umysłu.

— Nie, panie — odpowiedział Edward ze stałością; — jest to upadek natury. Teraz pokazać należy, komu przypisać mamy

godzien opłakania stan, do jakiego starzec ten przywiedziony został.

— Ci panowie obiadować będą z nami, mój synu — rzekł starzec obracając się do Edwarda i słysząc głos mu miły, który poznał. — Rozkaż przygotować ucztę godną oficerów Jego Kr. Mości. Wszakże wiesz, że mamy zawsze najlepszą zwierzynę podług potrzeby.

— Kto jest ten człowiek? — zapytał Marmaduk głosem niespokojnym, okazującym, iż poczynał wpadać na niejakiś domysły.

— Kto jest ten człowiek? — powtórzył Edward spokojnie, lecz ze wzrastającym poruszeniem, w miarę tego jak mówił; — człowiek ten, mieszkaniec pieczary, Mości panie, pozbawiony wszystkiego co życie może uczynić pożądanym, był niegdyś towarzyszem i radcą rządzących tym krajem. Człowiek ten tak słaby i styrany, był wojownikiem

dzielnym i nieuleknionym tak, iż wszystkie narody indyjskie przezwały go Spożywaczem Ognia. Człowiek pozbawiony chaty, w której spoczęłaby jego głowa, był niegdyś panem, sędzią Tamplu, i prawnym dziedzicem ziemi, na której się znajdujemy.

— A więc — zawołał Marmaduk głosem żywego wzruszenia — jest to major Effingham, który znikł od niejakiego czasu?

— On nim jest, sędzio — zawołał major Hartmann — i ja cię o tém zapewniam.

— A wy — zapytał P. Tampl, obracając się do Edwarda i z trudnością wymawiając — kim więc jesteście?

— Jego wnukiem — odpowiedział młodzieniec.

Przez minutę panowało głębokie milczenie. Wszystkich oczy zwrócone były na dwóch rozmawiających, a major Hartmann, jak się zdawało, oczekiwał wypadku tego objaśnienia z większą niecierpliwością,

jak niespokojnością. Nakoniec Marmaduk podnosząc głowę dotychczas zwieszoną na piersi, nie ze wstydu, lecz by w milczeniu złożyć dzięki niebu, wziął za rękę młodego Effinghama, tak bowiem na przyszłość nazywać Edwarda będziemy, i ścisnął ją uprzejmie.

— Pojmuję wszystko dopiero — rzekł: — przebaczam ci wszystkie uprzedzenia, podejrzenia; wszystko przebaczam, tego tylko darować nie mogę, iżś ścierpiał, by starzec ten żył w tak opłakanym stanie, kiedy dom mój i majątek były na wasze rozkazy.

— Nie raz wam mówiłem! — zawołał major Hartmann — iż Marmaduk Tampl człowiek dzielny i wierny jak stal, że nigdy nie opuściłby przyjaciela w potrzebie!

— To prawda P. Tampl — rzekł Effingham, — iż moją opinią, jaką miałem o waszych postępkach, zachwiało to, co mi mówił szanowny major Hartmann. Wie-

działem, iż on był towarzyszem i przyjacielem mojego dziada; znałem jego sprawiedliwość i dobroć serca, i udałem się na brzegi Mohawku zasięgnąć jego rady, gdy postrzegłem, iż niepodobna, aby ten nieszczęśliwy starzec mógł dłużej zostawać w schronieniu, które był winien staraniom poczciwego Bumpo. Major jest waszym przyjacielem P. Tamplu; lecz jeśli to, co mi powiedział, prawda, mój ojciec i ja możemy was zbyt surowo sądzili.

— Mówicie o swym ojcu; czyliż on rzeczywiście wsiadł na okręt? Czy prawda, iż zginął podczas rozbicia się okrętu?

— Niezawodnie. Zostawił mię w Nowej Szkocji, udając się do Anglii, w celu otrzymania wynagrodzenia strat, jakie poniósł w tym kraju, dla swego poświęcenia się sprawie królewskiej. Po wielu krokach, po upływie znacznego czasu i po długim oczekiwaniu, otrzymał zarząd jednej z wysp Antylskich i wybrał się dla objęcia go, spo-

dziewając się później wyszukać mojego dziada w miejscu, w którym on zostawał w czasie wojny i potem.

— Lecz ty, młodzieńcze, ty! Mnie zapewniano, iż razem z nim zginąłeś.

Lekki rumieniec wystąpił w tej chwili na lice młodego Effinghama, który dostrzegł, iż ochotnicy Tampltonu uszykowali się naokoło nich i z ciekawością przysłuchiwali się tej rozmowie. Zauważał to Marmaduk i obróciwszy się ku weteranowi, który więcej potrzebował czasu do powtórnego wejścia na taras, niż do zstąpienia z niego, rzekł:

— Kapitanie Hollister, odprowadź wojsko do Tampltonu, niech każdy powraca do zwykłych zatrudnień. Gorliwość szerefa w wykonaniu praw zadaleko go uniosła. Doktorze Todd, racz towarzyszyć P. Dulittlowi; aczkolwiek rana, którą odebrał, nie wydaje się niebezpieczną, może jednak będzie potrzebował waszej pomocy.

Rychardzie, bądź tak dobrym, chciej dopilnować, aby mi przysłano powóz pod górę. Benjamine, wracaj do swych obowiązków w moim domu.

Rozmaite te rozkazy niezbyt były przyjemne dla odbierających, których obudzona ciekawość żądała całkowitego zaspokojenia; lecz weszło już we zwyczaj okazywać niezwłoczne posłuszeństwo Marmadukowi i natychmiast go usłuchano. Na tarasie pozostały osoby mające bezpośredni udział w tej sprawie.

— Nim nadejdzie powóz dla przewiezienia waszego dziada w mój dóm, — rzekł Marmaduk do Effinghama — czy nie byłoby lepiej wnieść go do pieczary?

— Powietrze mu jest pomocne, staraliśmy się zawsze, by niém oddychał, ilekroć mogliśmy to uczynić bez niebezpieczeństwa. Lecz nie wiem co robić Panie Hartmann; czy powinienem, czy mogę przy-

stać na to, aby major Effingham mieszkał w domu sędziego Tampla?

— Sami to osądzisz — rzecze Marmaduk — Ojciec twój był przyjacielem mej młodości. On mi powierzył staranie o swym majątku, a taką ufność miał we mnie, iż gdyśmy się rozstawali, nie chciał żadnego aktu prawnego, któryby poświadczał o depozycie zostającym w mych rękach. Musiałeś go o tém słyszeć mówiącego?

— Zaiste Mości Panie — odpowiedział Effingham z gorzkim uśmiechem.

— Każdy z nas jął się odmiennego stronnictwa politycznego. Jesliby sprawa Ameryki odniosła tryumf, ojciec wasz nie narażał się na niebezpieczeństwo, nikt bowiem nie wiedział, iż mam w depozycie jego majątek; nie było na to żadnego dowodu ani śladu. Przeciwnie zaś, jesliby Anglija odzyskała swe panowanie nad tym krajem, któżby mógł wziąć za złe, gdybym wrócił tak dobrze myślącemu podda-

nemu jak major Effingham, wszystko co mu należało? Czyli to nie jest rzecz jasna?

— Proszę mówić dalej, nie przerywam Panu — rzekł Effingham z tymże wyrazem niedowierzania.

— Istna to jest prawda! — zawołał major Hartmann; — ja mówiłem, iż ani jednego włosa nieszczerości nie ma na głowie sędziego Tampla.

— Wszystkim nam wiadomo jaki był wypadek tej walki — dalej rzecz ciągnął Marmaduk — Dziad wasz pozostał w Konnektikut, gdzie regularnie od ojca waszego odbierał wsparcie. Wiedziałem o tém dokładnie, chociażem nigdy nie widział majora. Ojciec wasz udał się do Nowej Szkocyi i trudnił się poszukiwaniem wynagrodzenia, jakie mu winna była Anglija. Nie małej to było wagi, gdyż wszystkie jego dobra skonfiskowano, a ja nabyłem one. Czyliż nie było rzeczą naturalną życzyć, aby słusznym jego doma-

ganiom się sprawiedliwość wymierzono? Upadłyby one same przez się, gdybym publicznie zeznał, iż okupiłem dobra jego, których wartość przemysł mój stokrotnie pomnożył, w zamiarze powrócenia mu, i że uważam siebie tylko za ich administratora. Wszakże wiesz, że od czasu wojny, w rozmaitych epokach, posyłałem mu znaczne summy?

— Tak jest, posyłałiście mu aż do czasu nim

— Nim nie odesłał listów moich nieodpieczętowanych. Podobnym jesteś do swego ojca, Oliwierze; był on żywy i popędliwy. Nadto może mi na złe wyszło, iż zadaleko posunąłem moje rachuby. Może nie powinienem go był przez tak długi czas zostawiać w zupełnej niewiadomości o mych prawdziwych zamiarach, chcąc go pobudzić do popierania z większą czynnością swoich domagań się przeciw Anglii. Jednakże, gdym postrzegł, iż nie przyjmo-

wał posyłanych mu pieniędzy, pisałem dając mu poznać prawdziwy stan rzeczy, i zapewne oddałby mi sprawiedliwość prędszej, gdyby nie trwał w postanowieniu odsyłania listów nieotwieranych. Lecz cieszę się tém przekonaniem, iż mi oddał słusność przed śmiercią, albowiem jak mi donosił mój agent, czytał list mój ostatni adressowany do Anglii. Umarł mój przyjaciel, Oliwierze, i mniemałem, że razem z nim zginąłeś.

— Ubóstwo nasze nie dozwoliło zapłacić za dwa miejsca na przejazd; zostawił mnie przeto w Ameryce, a gdym otrzymał smutną wiadomość o jego śmierci, byłem prawie bez grosza.

— I jakże wówczas postąpiłeś mój biedny Oliwierze?

— Udałem się do Konnektikut szukać mojego dziada, wiedziałem bowiem, iż śmierć ojca zostawiła go bez wszelkiej pomocy. Nie znalazłem go tam, i nie bez

trudności wymogłem na nędzniku, który opuścił jego w biedzie, wyznanie, iż się on oddalił z jednym ze swych dawnych sług. Nie wątpiłem, iż to był Natty, albowiem ojciec mi często mówił.....

— A więc Natty był na usługach waszego dziada?

— Nie wiedzieliścież o tém?

— Zkądże miałem wiedzieć? Nigdy nie widziałem majora; nigdy nie słyszałem nazwiska Bumpo. Znałem go tylko jako człowieka żyjącego w lasach z myślistwa, a nie jest to rzecz nadzwyczajna w tym kraju, by mogła obudzić zadziwienie.

— Wychował się on w domu mojego dziada; odbył z nim wszystkie kampanije, a ponieważ lubił żyć sam jeden w lasach, był przeto zostawiony jako w pewien sposób *locum tenens* na gruntach, jakie stary Mohegan, któremu dziad mój ratował życie w jednej bitwie, dlań

wyjednał od Delawarów, kiedy go przyjęli do swego pokolenia za naczelnika.

— I taki jest początek waszej krwi indyjskiej?

— Nie miałem innego. Majora Effinghama przysposobił stary Mohegan, najznamienszy wówczas naczelnik swego narodu. Ojciec mój w młodzieńczym wieku odebrał nazwanie Orła, z przyczyny, jak mi powiadano, składu jego twarzy, i Mohegan nigdy nie dawał mi innego; z tego powodu nazywał mię Delawarem, a były takie chwile, w których chciałem nim zostać rzeczywiście.

Gdy młody Effingham przestał mówić. — Mów dalej, proszę cię — rzekł Marmaduk.

— Nie wiele mi zostaje do mówienia. Przybyłem tutaj, ponieważ słyszałem nie raz, iż Natty mieszkał nad brzegami tego jeziora; znalazłem go w samej rzeczy, okazującego w skrytości najczulsze starania

dawnemu swemu panu: sam bowiem nie mógł znieść myśli, aby człowieka, na którego cały lud niegdyś patrzył z uszanowaniem, wystawić światu na widowisko w takim stanie, do jakiego wiek i nie-szczęścia go przywiodły.

— I cóż natenczas uczyniłeś?

— Nie wiele pieniędzy pozostałych obróciłem na kupno strzelby i grubej odzieży; zacząłem polować z Nattym. Dalsze wypadki wiadome wam, Panie Templu.

— I zgoła nie wspomniałeś o starym Fryc Hartmannie! — zawołał major tonem wymówki — Imie Fryc Hartmanna nigdyż nie wyszło z ust waszego ojca?

— Możem i źle postępował, Panowie — odpowiedział Effingham — lecz miałem dumę i nie mogłem zniżyć się do zeznań, do jakich dzień dzisiejszy mnie zniewolił. Jeśliby mój dziad żył aż do jesieni, spodziewałem się go przeprowadzić do Nowego Yorku. Mamy tam dalekich krew-

nych, a oni winni byli dopiero nauczyć się przebaczać tym, którzy bronili sprawy królewskiej. Lecz nagle zasłabł, i lękał się, aby wkrótce nie spoczął obok Mohagana.

Powietrze było czyste i dzień piękny, pozostali przeto na tarasie aż do przybycia powozu P. Tampla: rozmowa dalej się ciągnęła, z interessem coraz bardziej wzrastającym, gdy każdy okres służył ku wystawieniu w czystszej świetle dobroczynnych zamiarów Marmaduka, i za każdą chwilą zmniejszały się uprzedzenia, jakie młody Effingham powziął przeciwko niemu; nie czynił więc żadnego oporu względem przeniesienia swego dziada do sędziogo, i starzec okazał pewien rodzaj radości dziecinnej, ujrawszy się w powozie. Gdy go zaniecono do salonu, zwracał kolejną oczy na wszystkie sprzęty, zdawało się jakoby ta myśl go opanowała, iż wrócił do swego domu: przemawiał Lowiem kilką

nieznaczącemi słowy grzeczności do wszystkich, jak gdyby był gospodarzem. Znużenie od podróży i praca, jaką przyczyniła jego umysłowi nagła zmiana zaszła w jego położeniu, wprawiły go wkrótce w pewien stan odrętwienia; wnuk jego i Natty zanieśli go do pokoju dlań przygotowanego i położyli w wygodnym łóżku, zbytek, jakiego od roku już nie znał. Adży natenczas oznajmił Effinghamowi, iż P. Tampl chce z nim pomóc w bibliotece; Oliwier przeto zostawiwszy Nattego przy swoim dziadku, udał się tam natychmiast i znalazł sędziego z majorem Hartmannem.

— Przeczytaj ten papier Oliwierze — rzekł Marmaduk, ujrawszy wchodzącego — a przekonasz się, iż daleki od tego, bym chciał szkodzić twej familii za życia: użyłem wszelkich środków, aby jej wymierzono sprawiedliwość, nawet po mojej śmierci.

Effingham wziął papier podany i z pierwszego rzutu oka poznał, iż to był testament P. Tampla. Jakkolwiek pomięszany i wzruszony, postrzegł atoli, iż data w nim najdokładniej odpowiadała epoce, kiedy Marmaduk przez czas niejaki pogrążony był w strapieniu, odebrawszy wiadomości od swego korespondenta z Anglii. W miarę postępu w czytaniu, oczy jego rosły się łzami, a ręka zaledwo mogła trzymać papier, gwałtowném poruszona drżeniem.

Testament poczynał się od zwyczajnego wstępu i P. Van der School nie zapomniał ani jednego wyrazu formy lub praktyki; lecz w dalszym ciągu można było poznać oczywiście styl Marmaduka. Wymieniał on jasno i najdokładniej obowiązki swoje względem półkownika Effinghama, rodzaj ich stosunków, okoliczności jakie ich rozdzieliły i zupełną ufność, jaką przyjaciel jego w nim pokładał. Dalej wyjaśniał pobudki swego postępowania, które

się mogło wydać podejrzaném dla pólkownika, mimo znacznych summ jakie mu posłał; w końcu namieniał, iż widząc że przyjaciel nie chciał odbierać jego listów, czynił bezskuteczne usiłowania w Konnektikut, by znaleźć majora Effinghama jego ojca, który nagle zniknął; i że należało wnosić iż syn pólkownika zginął z nim razem w czasie rozbicia się okrętu. Wyłożywszy tym sposobem wszystkie fakta, na których związek winni dopiero czytelnicy nasi zwrócić baczenie, przystąpił potém do wykazania rachunku summ odebranych od swego przyjaciela. Zapisywał dalej majorowi Oliwierowi Effingham, pólkownikowi Edwardowi Effingham, albo Oliwierowi Edwardowi Effingham synowi ostatniego, lub ich potomkom w linii prostej, połowę wszystkich dóbr nieruchomości doń należących i mianował exekutorów testamentu, obowiązanych czuwać nad wykonaniem tego rozporządzenia. Lecz

jeśliby nie odkryto w przeciągu piętnastu lat nikogo z pomienionych osób, mających prawo do tego zapisu, stawał się on nieważnym i niebyłym, a ogół wszystkich dóbr przechodził do jego córki z obowiązkiem, iżby wypłaciła prawnym dzieciom przereczonych Effinghamów, główne summy jakie przyjął od półkownika i procenta podług prawa.

Łzy się rzuciły z oczu Oliwiera, gdy przeczytał to niezbite świadectwo prawości Marmaduka, i jeszcze spójrzienia jego zwrócone były na papier, kiedy głos miły, dźwięk którego lekkiem go przejął poruszeniem, wyrzekł mu prawie do ucha:

— Jakże więc, Oliwierze, jeszczeż o nas powątpiewasz?

— Nigdy o Pani nie wątpił, — zawołał Effingham biorąc rękę Elżbiety; — nie, moje zaufanie w was ani na chwilę nie zachwiało się.

— A w moim ojcu?

— Niech błogosławieństwo niebios nań się zleje!

— Dziękuję ci, mój synu — rzekł Marmaduk ściskając mu rękę: — obaj możemy sobie uczynić niejaki zarzuty: ty byłeś nazbyt żywym, ja nadto powolnym. Połowa dóbr moich do ciebie należy od tej chwili; a jeśli mię podejrzenia nie mylą, mniemam, iż i druga połowa nie zostanie odłączona.

To rzekłszy wziął rękę swej córki, podał ją Effinghamowi i skinął na majora aby z nim wyszedł.

— Ach, ach, miss Tampl! — rzekł major uśmiechając się; — już nie jestem tém, czém byłem gdym służył z jego dziadem na jeziorach; inaczej nie łatwoby mu było odnieść tak piękną nagrodę!

— Daj pokój temu, Fryc, — rzekł Marmaduk — pamiętaj, iż masz siedmdziesiąt lat i że Rychard czeka na was z todody po dług jego przepisów zrobionym.

— Rychard! — zawołał major — *'der teufel!* jego todty dobry chyba tylko dla mego konia; zaprawia go melissem z cukru klonowego. Ja go nauczę jak robić.

Marmaduk wyprowadził go z pokoju i przytknął drzwi za sobą pożegnawszy z uśmiechem młodą parę.

Omylą się czytelnicy, gdy się spodziewać będą, iż drzwi te zaraz otworzymy. Powiemy tylko, iż rozmowa trwała bardzo długo, przerwało ją przybycie Pana Le Quoi, który się domagał rozmówić na osobności z miss Tampl, co mu przyrzekła dniem przed tém. Effingham się oddalił, a Elżbieta nie mało zdziwiła się, kiedy Francuz, bez ogrodka ofiarował jej swoje serce, swą rękę, ojca, matkę, swą fabrykę cukru na Martynice i wszystkie swe nadzieje we Francyi. Potrzeba wnosić, iż córka sędziego musiała już przed tém uczynić jakieś postanowienie: albowiem jakkolwiek powabną była ta ofia-

ra, odmówiła grzecznie jej przyjęcia, lecz tonem stanowczym.

P. Le Quoi pòszedł pocieszać się po tém odmówieniu na tody z Rychardem i Majorem, jeżeli tylko miał potrzebę tej pociechy: ponieważ ze sposobu, jakim zniósł tę przeciwność, można miarkować, iż miłość niewielki miała udział w tym postępku, i że sobie wyobrażał, iż przystojność wymagała, aby przed oddaleniem się ze Stanów Zjednoczonych, uczynił tę propozycją córce człowieka, który mu tak wiele zrobił dobrego.

R O Z D Z I A Ł X I.

Dalej ztąd przyjacielu! Dla pieszczochów losu
Nie opuścim tych którym on względu odmawia.
Uciechę, jaką im pomyślność sprawia
Zostawmy pysznym wpośród uniesień odgłosu;
Lecz z nami w tej skromnej łodzi
Wierna nam Muza uchodzi.

Sir WALTER SKOTT.

WYPADKI opisane w dziale poprzedzającym zaszły w Lipcu. Przebiegłszy rok cały prawie zakończymy naszą powieść w przyjemnym miesiącu Pazdzierniku. Lecz w czasie tej przerwy, wiele wydarzeń miało miejsce, z których zdać sprawę należy.

Dwoma celniejszemi były, małżeństwo

Oliwiera z Elżbietą i śmierć majora Effinghama. Oba te wypadki zaszły na początku Września, a małżeństwo ledwie tylko kilka dniami śmierć poprzedziło. Starzec zgasł jak lampa dla braku oliwy; ta strata bolała jego przyjaciół, lecz zważając na stan, do jakiego był on przywiedziony, czuć łatwo, iż boleść ich nie długo trwała.

Celniejszém staraniem Marmaduka było godzić to, co był sobie winien jak urzędnik z uczuciami których doznawał jako ojciec i jako człowiek. Nazajutrz po owym dniu, w którym się odbył atak pieczary, Natty i Benjamina znowu osadzeni byli w więzieniu, a sędzia miał staranie, aby im na niczém nie zbywało aż do powrotu umyślnego, wysłanego do Albany, który przyniósł przebaczenie dla starego strzelca. Wpływ jego na Hiram Dulitta łatwo wymógł na nim zaniechanie oskarżenia przeciwko Nattemu i Benjaminowi. Oba wkrótce wypuszczeni byli na wolność. Benja-

min wrócił do swych obowiązków *w wielkim domu*, a Bumpo do lasów.

Hiram Dulittl postrzegł, iż wiadomości jego w architekturze i w prawoznawstwie nie postępowały na równi z postępami, jakie każdodziennie czyniła osada Tampltońska; przedsięwziął więc posunąć się ku zachodowi, gdzie zakładano nowe osady i dzisiaj jeszcze w wielu domach porządku składanego można widzieć ślady umiejętności tego sławnego człowieka.

Jotham Riddel, który urojeń swych życiem przypłacił, zeznał przed śmiercią, iż przekonania jego o bytności kruszców w tém miejscu, gdzie ziemię rozkopał, było przyczyną zaręczenie pewnej wróżki, przypisującej sobie dar odkrywania ich za pomocą zwierciadła czarnoxięzkiego. Takie zabobony nie są rzadkie w nowych osadach i owa mina będąca przed kilką dniami przedmiotem wszystkich rozmów, poszła wkrótce w zupełną niepamięć. Lecz w tymże sa-

mym czasie, kiedy to zeznanie wytępiło w umyśle Rycharda Dżensa niektóre powątpiewania w nim jeszcze pozostałe względem zatrudnień trzech strzelców, było i upokarzającą dlań nauką, a przyjazną spokojności Marmaduka: od tej bowiem epoki skoro mu Szeryf podawał nowe jakie projekta z chwilowych wylęgte urojeń, jeden wyraz *mina* wyrzeczony przez P. Tampla, był talismanem dostatecznym do ich zniszczenia.

P. Le Quoi znalazł wyspę Martynikę i swą fabrykę cukru w posiadaniu Anglików, lecz odzyskał w swej ojczyźnie ojca, matkę, przyjaciół i wszystkie środki utrzymania się; P. Tampl z roskoszą odbierał regularnie dwa razy do roku list, w którym on malował szczęście doznawane w miłej swej Francyi i wdzięczność dla przyjaciół, którzy go tak dobrze w Ameryce przyjmowali.

Po tych szczegółach nieodbicie potrze-

bnych wracamy znowu do ciągu dziejów naszych. Niech nasi czytelnicy Amerykańscy wyobrażą sobie jeden z owych prześlicznych ranków w Październiku, kiedy słońce lśni się jak srebrzysta kula ognia, kiedy się czuje, iż sprężyste powietrze którym oddychamy rozlewa życie i krzepkość po całym ciele; kiedy ani zbyt gorąca, ani zbyt zimna temperatura, sprawuje, iż krew żywiej krąży, nie przyczyniając znużenia, jakiego się zwykle doświadcza na wiosnę.

O takim to poranku, w połowie tego miesiąca, Oliwier wszedł do salonu, gdzie Elżbieta jak zwykle wydawałaienne rozporządzenia i podał jej myśl przechadzki ponad brzegami jeziora. Wyraz łagodnej melancholii na obliczu męża, ściągnął uwagę Elżbiety; zarzuciwszy na ramiona szal z lekkiego muślinu i okrywszy krucze swe włosy kapeluszem słomianym, podała mu rękę niezadając najmniejszego pytania.

Szli oni w milczeniu aż nad brzeg je-

ziora, jakby szanując wzajem swe rozmyślania, którym całkowicie byli oddani. Nakoniec Effingham rzekł do swej małżonki: — Domyślasz się bez wątpienia dokąd cię prowadzę, kochana Elżusio, znasz moje plany; cóż o nich myślisz?

— Potrzeba naprzód, abym widziała jak one zostały wykonane, Oliwierze; lecz ja mam także i swoje, i czas już abym ci o nich coś powiedziała.

— Doprawdy! gotów jestem założyć się, iż to projekt jakiś na korzyść starego mojego przyjaciela Natty.

— Zapewne, nie zapomnę i o nim; lecz mamy innych jeszcze przyjaciół, którym usłużyć winniśmy; zapominaszże o Ludwice i jej ojcu?

— Bynajmniej: czyliż nie dałem zacnemu kapłanowi najlepszego folwarku w okolicy? Co się zaś tycze Ludwiki, sądzę, iż ona nie ma innych chęci jak tylko zawsze bydz przy tobie.

— Tak więc sądzisz? — rzekła Elżbieta zlekka ściskając usta. — Lecz biedna Ludwika może mieć inne widoki. Może za moim przykładem chciałaby wyjść za mąż.

— Wątpię o tém; nadto, nie widzę tu nikogo, coby był jej godnym.

— Lecz nie w jednym Tampltonie znaleźć męża, Oliwierze; są jeszcze inne kościoły prócz naszego Świętego Pawła.

— Inne kościoły! nie chciałabyś jednak usunąć od nas zacnego P. Granta?

— A dla czegoż nie, jeśli tego własny jego interes wymaga? Powinniśmy kochać przyjaciół naszych dla nich samych.

— Lecz zapominasz o folwarku.

— Mógłby go puścić w dzierżawę, jak to czynią inni.

— W końcu jakiż jest twój plan?

— Oto następny: ojciec mój na moję prośbę wyjednał wezwanie P. Granta na plebana do jednego miasta nad Hudsonem. Będzie tam żył przyjemniej niż w naszych

górach, gdzie obowiązany jest ciągle przedsiębrać wycieczki z jednej do drugiej osady; tam spokojniej przepędzi zimę swojego życia, a towarzystwo, w jakim się znajdzie, poda mu środki do przyzwoitego postanowienia córki swojej.

— Zaprawdę, dziwisz mię Elżbieto. Nigdy nie podejrzewał w tobie widoków tak głębokich.

— Mogą one być głębsze niżeli wyobrażasz sobie, — odpowiedziała z uśmiechem; — lecz taka jest moja wola Effinghamie, i potrzeba, abyś się jej poddał. Czyliż mój ojciec ciebie nie uprzedził, iż rządzić będę tobą, jakem nim rządziła?

Oliwier ściśnięciem jej ręki na to odpowiedział, a ponieważ przybyli w tę chwilę do kresu przechadzki, pasmo innych myśli położyło koniec tej rozmowie.

Dodamy tylko w tém miejscu, iż Elżbieta bez wielkiego trudu odkryła tajną skłon-

ność przyjaciółki swojej ku Oliwierowi, a chociaż nie miała ona ni zazdrości, ni złej myśli; mniemała jednak, iż szczęście Ludwiki wymagało tego rozdzielenia. Nastąpiło to w kilka dni po tej rozmowie. Jak mistress Effingham przewidziała, tak się ziściło. Nieobecność zatarła powoli rysy Effinghama w pamięci Ludwiki i w ośmnaście miesięcy po wyjeździe z Tampltonu, oddała ona serce i rękę małżonkowi, który ją uczynił szczęśliwą, jak na to zasługiwała.

Przybyli podówczas na ziemię, gdzie była przed kilką miesiącami chata Nattego; oczyszczono ją z belek na pół spalonych, zrównano, przyodziano darniną, której deszcze jesienne nadały wiosenną świeżość; nakoniec otoczono do koła wałem z kamieni, a drzwi opatrzone prostą zasuwką, otwierały wejście do tego miejsca. Gdy się zbliżyli, postrzegli strzelbę Nattego o mur opartą; a Hektor i Slut leżące na

boku, zdawały się być strażą czuwającą nad własnością pana swego. Stary strzelec leżał wewnątrz rozciągniony na ziemi przed grobowym kamieniem, u spodu pomnika z marmuru białego, wrywał zielsko, które już poczynało okrywać napis i ozdoby. Młodzi małżonkowie postępowali bez szelestu i stanęli za nim. Po kilku chwilach podniósł się, ręce na krzyż założył, mając oczy ciągle na tenże sam przedmiot zwrócone.

— Dobrze więc — rzekł do siebie samego — mogę powiedzieć, iż to wszystko nie źle jest zrobione. Jest tu coś podobnego do pisma, czego nie mogę wydecyfrować; lecz dalej, łuk, strzały, fajka, ławo się dają poznać; tomahawk nawet dosyć dobry dla tego, który go może nigdy nie widział. Tak więc, oto wszystko obok siebie w ziemi. I któż mnie w niej złoży, mnie, gdy godzina moja wybije?

— Kiedy ta nieszczęśliwa godzina nadej-

dzie, Natty, — rzekł Effingham, — znajdą się przyjaciele dla oddania ci tych ostatnich powinności.

Stary strzelec odwrócił się, lecz nie okazawszy najmniejszego zadziwienia, zwyczaj ten bowiem przejął od Indyan, rzekł:

— Przyszliście więc zobaczyć grobów? dobrze, dobrze! jest to widok zbawienny, równie dla młodych, jak dla starych.

— Spodziewam się, iż to ci się podoba, Natty; nikt nie ma większego prawa od ciebie, by się go radzono w tej mierze?

— Nie znam się na tém, P. Oliwierze, lecz wszystko to mnie się zdaje dosyć dobrém. Pamiętałeś o tém, by głowę majora obrócić w stronę zachodu, a Mohegana ku wschodowi?

— Jak tego żądałeś.

— I lepiej tak, ponieważ Mohegan statecznie wierzył, iż oni nie powinni podróżować w jedne strony. Co do mnie, ja

wyobrażam sobie; iż jest istota wyższą nad wszystkie inne, która powoła wszystkich ludzi dobrych, gdy chwila woli jej nadejdzie; istota, która uczyni białą skórę z czarnej i postawi ją na równi z książętą.

— Nie powinienes' o tém wąpić, Natty, — rzekła Elżbieta; — pochlebiam, iż kiedyś się połączymy, i że wszyscy razem będziemy szczęśliwi.

— Tak mniemacie. A więc dobrze, wielką pociechę myśl ta zawiera w sobie. Lecz nim się ztąd oddalę, chciałbym wiedzieć, co tu mówicie wszystkim do tych krajów przybywającym jak gołębie chmurami na wiosnę, o starym naczelniku delawarskim i o jednym z najdzielniejszych białym, jakiego kiedykolwiek na tych górach widziano.

Effingham obrócił się ku pomnikowi i czytał co następuje:

Pamięci

OLIWIERA EFFINGHAMA

Majora 60 pułku piechoty Króla Jmści
Angielskiego.

Godzien chwały

Dla swej waleczności jako żołnierz,

Dla swej prawości jako poddany,

Dla swych cnót jako człowiek,

Dla swej wiary jako chrześcijanin,

Przebył poranek dni swych

W zaszczytach, bogactwie i znaczeniu;

Wieczor ich mrokiem zasepiły

Zapomnienie, cierpienia i ubóstwo;

Lecz te przeciwności osłodziło

Poświęcenie się

Starego sługi, wiernego przyjaciela,

Nattego Bumpo, przezwanego *Kosmaty Kamasz*.

Wnuk jego wystawił ten pomnik

Pamięci pana i sługi.

Natty zadrżał usłyszawszy swe nazwisko
i uśmiech zadowolenia ożywił jego fizyog-
nomiją.

— Co mówisz P. Oliwierze? Kazałeśże
wyrznąć na marmurze imie starego sługi

obok imienia starego jego pana! Niech Bóg ci nagrodi! Jest to myśl dobra! myśl szlachetna! Pokażcie więc mi miejsce, gdzieście kazali wypisać moje nazwisko?

Z wielkim interessem ściagał on oczyma za palcem Effinghama wskazującym linią, gdzie się znajdowało jego nazwisko.

— Jest to zbytek dobroci — rzekł nakoniec — dla biednego człowieka, nie zostawującego nikogo ze swej krwi, ani swego imienia w kraju, w którym tak długo mieszkał. Lecz cóżeście powiedzieli o skórze czerwonej.

— Zaraz usłyszysz.

Pamięci

Wodza Delawarskiego, znanego pod nazwiskami
DŻONA, MOHEGANA, SZYNGASZGUKA.

— Gasz — zawołał Natty — Szyngaszguk jedno znaczy co Wielki Wąż. Nie należy się mylić co do nazwisk indyjskich, P. Oliwierze, zawsze one bowiem coś oznaczają.

— Każę to zmienić — rzekł Effingham,
i dalej czytał napis:

On był ostatnim z narodu
Co kraj ten zamieszkiwał.
Jeżeli miał jakie przywary
One były wadami Indyanina;
Cnoty zaś jego
Były cnotami człowieka.

— Nic prawdziwszego, P. Oliwierze.
Ach! gdybyście go znali, jak ja! jeśliby-
ście widzieli młodego w tej bitwie, po
której mąż dzielny, którego zwłoki obok
spoczywają, zbawił mu życie, kiedy te
łotry Irokezanie już go przywiązali byli do
słupa! Własną ręką przeciąłem jego więzy
i dałem mu mój tomahawk i mój nóż, po-
nieważ fuzya zawsze była ulubioną moją
bronią. I jakże on ich użył, kiedyśmy
ścigali tych łotrów! Wieczorem miał je-
denaście czupryn. Zaiste, kiedy spoglą-
dam na te góry, gdzie widziałem niekiedy

aż do dwudziestu ognisk Delawarów, smutno pomyśleć, iż ani jedna skóra czerwona nie została, oprócz tylko jakiego pijaka tułającego się z Onejdy, lub tych pół Indyanów znad brzegu morza, jacy zdaniem mojem nie są stworzeniem Bożem, ponieważ nie są ani biali, ani czerwoni. Nakoniec chwila już nastąpiła, potrzeba abym się oddalił.

— Bys się oddalił! — zawołał Effingham; — i gdzie się chcesz udać?

— Ręczę, iż chce iść polować w dalekiej strony — zawołała Elżbieta, widząc go podnoszącego z ziemi tłómok na kształt tornistru, który leżał za pomnikiem, i wkładającego na barki. — Nie należy przedsiębrać tak dalekich wypraw w lasy, Natty, w twoim wieku to jest rzecz nierozsądna.

— Słusznie Elżbieta mówi, Natty, — dodał Effingham, — jeżeli chcesz polować, niech to będzie na sąsiednich górach, lecz

co za potrzeba skazywać siebie na życie tak ciężkie?

— Na życie tak ciężkie, P. Oliwierze — odpowiedział Natty, — jest to jedyna rokosz, jaka mi na tym pozostała świecie! A wiedziałem jednak, że to rozłączenie się tak przykrém będzie, wiedziałem i dla tego to przyszedłem pożegnać te groby, by oddalić się, was nie zobaczywszy. Lecz nie bierzcie tego za skutek małej przyjaźni; w jakimkolwiek bądź miejscu będzie ciało starego Natty, serce jego zawsze będzie z wami.

— Co więc przez to chcesz powiedzieć Natty? — zawołał Effingham; — gdzie masz zamiar udać się?

— Dobrze więc P. Oliwierze, — rzekł Natty przybliżając się, jak gdyby to co miał rzec, zbijało wszelkie zarzuty — mam zamiar udać się w okolice wielkich jezior; powiadają, że tam polowanie pomyślne, że nie ma tam człowieka białego, oprócz

może takiego, jak ja strzelca. Znudziło mi życie w miejscu, gdzie od ranka do wieczora obija się tylko o uszy huk topora i młota; i pomimo mego ku wam obojgu przywiązania, czuję potrzebę żyć w lasach, czuję to.

— W lasach! — powtórzyła Elżbieta drżąca; — nie nazywasz więc lasami rozległych gajów wokoło nas otaczających?

— Ach! mistress Effingham, czémże to jest dla człowieka do pustyni przywykłego! Nie miałem prawie innej żądzy w tym świecie, odkąd ojciec wasz przybył do tego kantonu. A jednak nigdybym się ztąd nie oddalił, póki niebo utrzymywało przy życiu dwa ciała tu się znajdujące. Lecz oto Szyngaszguk wyruszył, major udał się za nim; wy jesteście młodzi i szczęśliwi, nie mogę wam być do niczego przydatnym; czas już abym myślał o sobie i abym się starał przepędzić podług mych chęci i skłonności, nie wiele

dni zostających mi do życia. Lasy! nie, nie, nie daję nazwania lasów miejscu, gdzie tracę wszystkie dni mojego życia w gajach wytrzebionych.

— Lecz jeżeli nie dostaje czegokolwiek do zupełnego twego zaspokojenia, Natty,— rzekł Oliwier, — powiedz nam, a postaramy się o to, jeżeli to tylko dla nas nie będzie niepodobnym.

— Zamiary wasze są dobre, P. Oliwierze, lecz gusta nasze nie są też same, nie chodzimy jednemi drogami. Jest to tak jak z majorem i Szyngaszgukiem; oni się skierowali jeden na wschód, drugi na zachód, dla dojścia do nieba, i w końcu się spotkają z sobą. Toż samo będzie i z nami. Tak jest, znajdziemy się obok siebie w krainie sprawiedliwych, mam nadzieję, polegam na tém.

— Lecz to jest tak nowe, tak niespodziewane! — zawołała Elżbieta. — Jam sądziła Natty, że masz zamiar żyć i umrzeć z nami.

— Usiłowania nasze są bezskuteczne — rzekł Effingham do swej małżonki w pół głośa; — dobrodziejstwa kilku dni, nie mogą przełamać nałogów czterdziestoletnich. Dobrze więc Natty, ponieważ się chcesz oddalić z Tampltonu, nie zapuszczaj się przynajmniej tak daleko jak zamierzasz: pozwól mi wystawić dla ciebie chatę w miejscu jakie sam obierzesz, o dwadzieścia lub trzydzieści ztąd mil, abyśmy cię mogli w pewnych czasach widzieć, mieć wiadomości od ciebie, i byź pewnemi iż ci niczego nie braknie.

— Nie obawiajcie się niczego względem mnie, Bóg mieć będzie pieczę o mych potrzebach. Powiadam wam, iż zamiary wasze są dobre, lecz drogi nasze nie są te same. Widok ludzi wam jedna rokosz, ja lubię tylko osobność. Jem gdy głód czuję, piję gdy mnie pali pragnienie, dla was zaś potrzeba aby dzwonił znak do tego dawał. Przez zbytek dobroci tuczycie na-

wet psy wasze, kiedy potrzeba aby one były nieco chude, do dobrego polowania. Nic Bóg bez celu nie stworzył, nawet ostatniego żyjątko, a mnie stworzył do pustyni. Jeśli więc macie przyjaźń ku mnie, dozwólcie mi żyć w sposób, jaki dla mnie jest jedynie przyjemnym.

Niepodobna było dłużej nastawać. Elżbieta odwróciła się płacząc, Effingham zaś wydobywszy pugilares z kieszeni, wyjął wszystkie bilety bankowe jakie się tam znajdowały i podał je staremu strzelcowi.

— Weźmij to przynajmniej — rzecze — może kiedykolwiek będziesz w potrzebie.

Natty obejrzał bilety bankowe z wyrazem ciekawości, lecz nie dotykając się odpowiedział.

— Jest to bez wątpienia moneta owa papierowa? Nigdy jej nie widziałem. I cóż chcecie abym z nią zrobił? To tylko dobre jest dla uczonych. Nie mógłbym nawet użyć tego do zrobienia kłaku, ponie-

waż skóry na to używam. Nie, nie, zachowajcie to; na niczém mi nie zbywa, ponieważ przed wyjazdem Francuza podarowaliście mi wszystko proch dobry pozostały w jego sklepie; a powiadają, iż się znajduje ołów w kraju do którego zmierzam. Mistress Effingham dozwól starcowi ucałować waszą rękę i niech wszystkie błogosławieństwa niebios staną się waszym udziałem.

— Błagam cię raz jeszcze Natty, — zawołała Elżbieta — nie opuszczaj nas! Nie zostawiaj mię w okropnej niespokojności o człowieka, który mi dwakroć życie ratował. Sny straszliwe przedstawiać mnie będą ciebie umierającego z potrzeby, ze starości i nędzy, w pośród dzikich zwierząt, od jakich mię ocaliłeś i od których obronić się może już więcej nie będziesz miał siły. Pozostań z nami, zaklinam ciebie, zrób to przynajmniej dla nas, jeżeli nie dla siebie samego!

— Takie myśli i takie sny nie długo

was dręczyć będą — rzekł stary strzelec tonem uroczystym; — dobroć Boga nie dopuści tego. Połóżcie w nim nadzieję, a jeśli przypominasz kiedykolwiek panterę, niech to będzie powodem do złożenia dziękczynień nie mnie, lecz temu, który skierował me kroki dla wybawienia was od niej. Proszę Boga by miał pieczę o was, tego Boga który czuwa równie nad wytrzebionými miejscami, jak i nad lasami; niech on was błogosławi jak to wszystko co do was należy, aż do owego wielkiego dnia, w którym nastanie sąd tak na skóry białe jak na czerwone, w którym prawem będzie sprawiedliwość nie zaś potęga.

Elżbieta podniosła głowę i zbliżyła do niego lice blade i łzami zroszone. On zdjął czapkę i dotknął się jej twarzy z poszanowaniem usty swemi. Effingham ścisnął mu rękę z konwulsyjnym poruszeniem, nie mogąc ani słowa przemówić. Stary strzelec natenczas poprawił swój pas i rzemyki

przywiązujące tłomok do ramion, przygotował się do oddalenia, lecz z jakąś opieszalnością pokazującą ile to rozłączenie się go kosztowało. Raz lub dwakroć jeszcze próbował przemówić, lecz nie zdołał tego uczynić. Nakoniec uzbroiwszy się ostatecznym postanowieniem, położył strzelbę na ramie, zawołał głosem nadto mocnym, by można było postrzedz wzruszenie nim miotające:

— Dalej Hektor! w drogę Slut. Macie do przebycia drogę nim dójdziecie do końca podróży.

Dwa psy zruszyły się na głos jego i poszły za swym panem, oddalającym się wielkimi krokami. Oliwier i żona jego byli podówczas oparci o pomnik swego dziada, z głową skłonioną na ręce, a gdy się odwrócili, by nań znowu nalegać, już on daleko odszedł. Wstąpiwszy na pagórek zatrzymał się chwilę, obrócił się ku nim, poruszył ręką w powietrzu jak na znak

pożegnania, położył ją na oczach i zapuścił się w las.

Ostatni to raz widzieli oni Nattego. Na próżno go P. Tampl kazał szukać wszędzie; nigdy nie otrzymano o nim wiadomości. Udał się on na zachód słońca, pierwszy z tej gromady osadników, zwanych pospolicie PIJONIERAMI, którzy przez łąd rozległy, otwierają Amerykanom drogę ku drugiemu morzu.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I
OSTATNIEGO.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

PRENUMERATOROWIE.

	exempl.
Antoniewiczówny Emilja i Ludwika	1
Białłozorówna Bogumiła	1
Białłozorówna Brygida	1
Białłozorówna Eleonora	1
Bitowt Jerzy X. Dziekan i prob. ko. S. Jana	1
Brodowski Jan Bonifacy Prefekt Gym. Wil.	1
Dołobowski Jan Tranz. Izby Wil. Sądu Cy.	1
Dombrowski Stanisław Porucznik W. P.	1
Drzewiecki Ignacy Nauczyciel Gym. Wileń.	1
Giedymin Bernard Magister Filozofii	1
Gosztoft Józef	1
Guerard Józef August Nauc. Gym. Wileń.	1
Herubowicz Tomasz	1
Horain Kapitan Inżynierów	1
Jackowski Teofil Student prawa	1
Jaźwiński Kapitan	2
Kalinowski Jędrzej Nauczyciel Gym. Wil.	1
Klimańska Karolina	1
Kostrowicki Karol	4
Kupśc Nikodem	1
Kuszelewska Elżbieta	1
Kuszelewska Paulina	1
Mackiewicz Alexander Doktor Medycyny	1

F

15.436/2

Milewski Michał Prowizor Farmacyi	
Pietkiewicz Dominik	1
Połubińska Emilja	1
Przeciszewska z Bułharynów Kazimira	1
Przeciszewski Adolf	1
Przeciszewski Hieronim	1
Radziszewski Joachim Radca honorowy	1
Rodowicz Ferdynand	1
Rogalska Józefa	1
Romer Antoni	1
Rutkowski Karol	1
Rymkiewicz Tomasz Kandydat Filozofii	1
Sakowicz Eugeniusz Kandydat Prawa	1
Wejss Krystyan	1
Wołowicz Michał	1
Zabiello Eustachy	1
Zajączkowski Bazyli Pom. Bibl. Uniw. Wil.	1
Życki Tomasz R. S. Prof. Emer. Uniw. Wil.	1



<http://rcin.org.pl>

F

15.436